NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 27 marca 1909. Nr. 13.

Schwytanie szpiega.

(Treść na str. 2).



TREŚĆ NUMERU: Z krainy Szkipetarów. — W przededniu wojny. — Zmiany w generalicyi. — Wyjazd prezydenta Roosevelta. — W obawie inwazyi. — Syn Milana w Berlinie. — Gość egzotyczny w Paryżu. — Zgon wybitnego lekarza-filantropa. — Austryacko-węgierska flotylą rzeczna. — Niefortunny występ posła Trylowskiego. — Samouk poeta. — Przed wojną. — Głodomorka i t. d.

Od Wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Czytelników prosimy o nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uregulowania nakładu wydawnictwa. Prenumeratorzy **galicyjscy** otrzymują z niniejszem numerem gotowe przekazy pocztowe, a to celem ułatwienia im przesyłki prenumeraty.

Prenumerata **kwartalna w Galicyi** wynosi już z przesyłką pocztową **4 korony**.

Prenumeratę nadsyłać należy w Galicyi do Centralnej

Administracyi „Nowości Illustrowanych“

Kraków, ul. Zacisze 7.

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem prenumerować można .

w Biurze G. Ungra w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78.

dokąd też wszelkie przesyłki pieniężne adresować należy, lub też we wszystkich księgarniach w Królestwie i Cesarstwie.

Prenumerata kwartalna w Warszawie wynosi **1** Rbs. **80** kop., na prowincyi z przesyłką pocztową **2** Rbs. **60** kop.



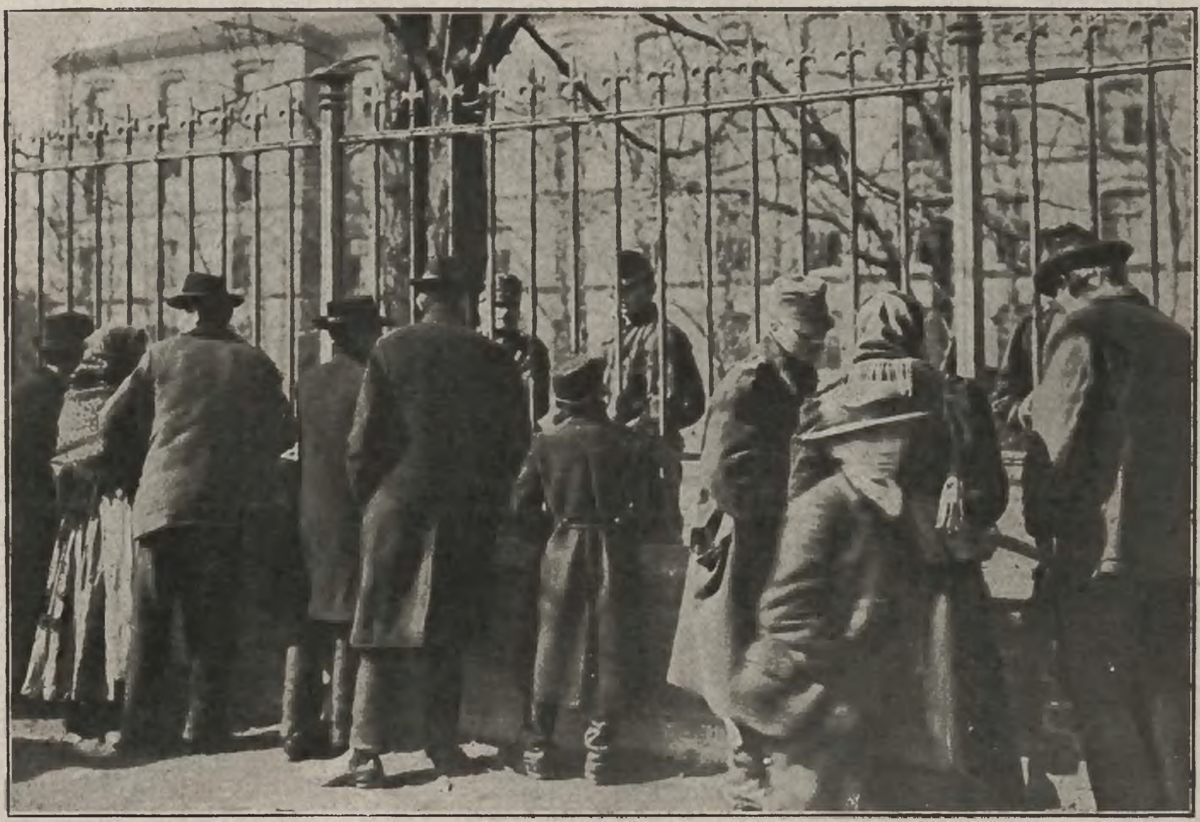
Zmiany w generalicyi: Generał kawaleryi hr. Karol Auersperg, dotychczasowy dowódca XI korpusu, mianowany kapitanem przybocznej gwardyi.

Schwytanie szpiega.

(Do illustracyi tytułowej).

Jeszcze się ważą losy wojny lub pokoju, jeszcze dyplomacya europejska wysila się, a przynajmniej udaje, że czyni wszystko, co może, aby niedopuścić do zbrojnego starcia między malutką Serbią, a jej potężnym sąsiadem, jeszcze ani z Belgradu, ani z Wiednia nie padło straszne słowo: „Wojna!“ ale jak długo potrwa ten stan oczekiwania, któż może wiedzieć?...

Rycina nasza, sporządzona wedle nadesłanego szkicu, przedstawia przyprowadzenie przed jednego z dowódzców austryackich schwytanego na prowincyi Serba, podejrzanego o szpiegostwo. Jego szczęście, że stan wojenny jeszcze nie został ogłoszony, oddany bowiem zostanie do ukarania sądom cywilnym. Gdyby schwytano go już po rozpoczęciu wojny, nie minąłby go stryczek, albo kula, po udowodnieniu winy, sądy bowiem wojenne innej kary za szpiegostwo nie znają.



W przededniu wojny: Publiczność zaglądająca do ogrodu, który otacza koszary Arcyksięcia Rudolfa w Krakowie.

Tymczasem obie strony gorączkowo gotują się do zbrojnych zapasów. Serbia czyni to z wielkim hałasem, tak, jakby pragnęła nastraszyć przeciwnika. Austro-Węgry zaś przeciwnie, zbroją się bardzo intenzywnie, lecz bez rozgłosu. O ich przygotowaniach można się coś dowiedzieć tylko z dzienników... zagranicznych, prasa bowiem w Austryi i Węgrzech milczy o sprawach mobilizacyi, ruchach wojsk i t. p.

Na pograniczu jednak stan rzeczy jest tego rodzaju, że armia austro-węgierska przygotowaną jest w zupełności do rozpoczęcia akcyi zaczepnej w każdej chwili. Takie pogotowie wojenne wymaga nadzwyczajnej czujności i nakłada ono na żołnierzy i oficerów ciężkie obowiązki, które szczególniej o tej porze roku, przychodzi im spełniać z niemałym trudem. Przedewszystkiem oddziały, którym powierzona jest piecza granicy, muszą na to pilnie baczyć, aby w tamtych stronach nie kręciły się indywidua uprawiające niebezpieczne, ale zato zyskowne zajęcie szpiegowskie.



Zmiany w generalicyi: Marszałek polny porucznik Fryderyk Ihm, mianowany komendantem twierdzy przemyskiej.



W przededniu wojny: Przed koszarami Arcyksięcia Rudolfa w Krakowie

Z krainy Szkipetarów.

Jednym z najmniej znanych ludów Europy są Albańczycy, którzy sami nazywają się Szkipetarami, a których ojczyzna, wcześniej lub później, musi



Z krainy Szkipetarów: Albańczyk z Wraki.

odegrać ważną bardzo rolę przy rozwiązaniu kwestyi wschodniej na Bałkanie. Większość Albańczyków, około półtora miliona, zamieszkuje właściwą Albanię i pozostaje pod panowaniem Turcyi, mniej więcej 200.000 Albańczyków mieszka w środkowej Grecyi, a 100.000 we Włoszech południowych. Wyznają oni w trzech czwartych religię mahometańską, reszta wyznaje katolicyzm i prawosławie.

Jestto naród bogato wyposażony pod względem fizycznym i duchowym, pomimo tego jednak stoi na bardzo niskim stopniu kultury, będąc przez wieki odciętym od reszty cywilizowanego świata. Dzieli się on na mnóstwo szczepów, które zachowały swój ustrój patryarchalny i, chociaż Turcy panują nad nim od XV wieku, zachował prawie zupełną niezależność od władz tureckich. *Vendetta*, tj. krwawa zemsta, do dziś dnia obowiązuje w całej rozciągłości wszystkich Albańczyków bez różnicy wyznania i stanowiska socyalnego. Ten barbarzyński objaw charakteru Albańczyków w połączeniu ze skłonnością do rozbójnictwa jest jedną z głównych przyczyn, że postępy kultury wśród nich są stosunkowo małe, pomimo usiłowań tych ludzi, którzy, odebrawszy wykształcenie za granicą, pragnęliby swych ziomków wprowadzić do rodziny narodów cywilizowanych.

Albańczycy-mahometanie, których wiąże z Turcyą jedynie węzeł wspólnej religii, dostarczają jej oddawna najbitniejszych żołnierzy. W najbliższem otoczeniu sułtana Abdul Hamida znajdują się pułki gwardyi, rekrutowane z pośród Albańczyków, a cieszące się jego wielkimi względami z powodu swej niezachwianej niczem wierności. Ponieważ zaś są oni śmiertelnymi wrogami wszystkich chrześcijan — przeto stanowią dla Turcyi wielce wygodny żywioł na pograniczu Macedonii, zamieszkałej przez chrze-



Z krainy Szkipetarów: Muzułmańska dziewczyna z Kopliki.

ścijańskich Bułgarów, Serbów, Greków i Kuco-Wołochów.

Włochy ostrzą sobie od dawna zęby na Albanię, którą pragnęłyby zagarnąć, gdy nadejdzie chwila likwidacyi posiadłości państwa ottomańskiego w Europie. Apetyt to jednak fałszywy, gdyż są wszelkie dane potemu, aby Albańczycy, stanowiący naród odrębny z własnym językiem i w bardzo wygodnem, bo mającem dostęp do morza, położeniu geograficznem, utworzyli kiedyś samodzielne państwo.

Podane w niniejszym numerze ryciny podają szereg charakterystycznych typów dzielnych mieszkańców Albanii, w ich malowniczych narodowych strojach, które, podobnie, jak ich język, są zupełnie odrębne od innych ludowych strojów europejskich.



Z krainy Szkipetarów: Naczelnik szczepu ze wsi Szkrel.

Wyjazd prezydenta Roosevelta.

Syt laurów i sławy, po siedmioletnich rządach opuścił Roosevelt biały dom w Waszyngtonie, aby zrobić miejsce swemu następcy, Williamowi Taftowi. Z chwilą ustąpienia dotychczasowego prezydenta nic się właściwie nie zmienia, gdyż następca należy do tego samego co i on stronnictwa i dalej prowadzić będzie politykę swego poprzednika.

Roosevelt ustępuje z widowni w zacisze domowego ogniska i osiada na stałe w posiadłości swej pod Nowym Jorkiem, zmieniając fotel niekoronowanego władcy na pióro dziennikarza. Celem wytchnienia po trudach dotychczasowego życia, które gruntownie nadszarpało jego prywatny majątek, udaje się Roosevelt do Afryki, gdzie myśli zabawić dłuższy czas. Jeden z dyrektorów cyrkowych zaproponował mu podobno, aby rozpoczął gościnne występy w jego przedsiębiorstwie, ofiarując kolosalne honorarium i obiecując urządzić mu wygodny wagon



Z krainy Szkipetarów: Południowi Albańczycy z Janiny; w środku sławny rozbójnik.



Wyjazd prezydenta Roosevelta z Waszyngtonu: Ex-prezydent w towarzystwie przyjaciół opuszcza swą dotychczasową siedzibę.

mieszkalny, w którymby w wolnych od zajęć cyrkowych chwilach, mógł się oddawać pracy dziennikarskiej. Rzecz naturalna, że ex-prezydent odmówił stanowczo, uważając, że zanadto wielkim byłby skok z posady prezydenta Stanów, na stanowisko dowódcy jeźdźców cyrkowych w guście Buffalo-Billa.



Z krainy Szkipetarów: Albańska mahometanka ze Skodaru.

Pożegnanie ustępującego odbyło się bardzo serdecznie, o ile naturalnie można mówić o serdeczności między ludźmi, którzy tylko *business* mają na myśli. W każdym razie Roosevelt zostawił po sobie jak najlepsze wspomnienie między ludnością Stanów Zjednoczonych z wyjątkiem może trustów, którym dał się porządnie we znaki.

Rycina nasza przedstawia odjazd byłego prezydenta na dworzec kolejowy w Waszyngtonie. Towarzyszy mu wielu zwolenników i przyjaciół politycznych, którzy w ten sposób chcieli mu okazać swą sympatyę.

W obawie inwazyi.

Anglia, której było danem dotąd mniej odczuwać ciężar nowożytnego militaryzmu, niż innym państwom Europy, zaczyna niestety wstępować zwolna na drogę zwiększenia swoich sił zbrojnych lądowych, mogącą doprowadzić w rezultacie do obowiązku powszechnej służby wojskowej. Ciekawy przytem objaw daje się zauważyć, a mianowicie, że zmiana zapatrywań narodu angielskiego na korzyść zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej odbywa się *propro motu*, a przynajmniej bez widocznego nacisku moralnego ze strony sfer rządowych.

Już kilkakrotnie zwracaliśmy uwagę Czytelników na ten zwrot w opinii angielskiej, który także illustrują podane ryciny.

Jedna z nich przedstawia „oficera“ i „szeregowca“ — rodzaju żeńskiego — z ochotniczego korpusu sanitarnego, który obecnie organizują młode osoby, należące do arystokratycznych sfer angielskich. Korpus ten, stanowiący jeden z oddziałów angielskiego towarzystwa Czerwonego krzyża, będzie się składać z pieszych i konnych sanitaryuszek, umundurowanych efektownie.



W obawie inwazyi: „Oficer“ i „szeregowiec“ z ochotniczego korpusu sanitaryuszek angielskich.

Druga zaś—uczniów słynnego kolegium w mieście Eton, podczas ćwiczeń wojskowych, które odbywają pod kierownictwem oficerów i podoficerów armii liniowej. Wprawdzie już dawniej w kolegium tem istniał specyalny kurs przygotowawczy do zakładów wojskowych, teraz jednak wszyscy jego uczniowie muszą ćwiczyć się w służbie wojskowej.



Z Dalmacyi: Wieśniacy udający się na targ do Zadaru.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

13 Ciąg dalszy.

— Proszę mu zanieść mój bilet, chcę być przyjęty.

Chłopiec nie spojrzał nawet na podany bilet i zagłębił się w dziennik.

Pan Mitre czuł jak wszystko kipi w nim z gniewu.

— Dobrze, będę czekał.

Siadł na ławce. Czekał. Długo, nieskończenie. Ciężko być w przedpokoju, gdy jest się od kogo zależnym. Owłada wtedy człowiekiem uczucie wstydu i poniżenia.

Przeszła godzina; potem minął jeszcze kwadrans. Chłopiec, który w tym czasie na głos dzwonka wychodził i przynosił różne papiery, wyjął z szuflady marynarkę, włożył ją na siebie zamiast liberyi i odezwał się z jakąś szyderczą grzecznością:

— Czas śniadania, muszę zamknąć biuro.

— O której godzinie będzie otwarte?

— O drugiej.

— Dobrze, ja przyjdę.

Pan Mitre wyszedł. Drzwi biura prowadziły na tarasę sąsiedniej restauracyi. Usiadł tam i w tej chwili podbiegł do niego garson.

— Czem mogę służyć? śniadanie?

— Proszę mi powiedzieć, czy pan zna pana Mereuil?

— Pana Mereuil? Znam bardzo dobrze. Czy pan razem będzie jadł śniadanie? W tej chwili właśnie wszedł przez boczne drzwi. O, jest tam, rozmawia z gospodarzem.

Pan Mitre ujrzał eleganckiego mężczyznę, z monoklem i długimi wąsami. Podniósł się szybko, wyprostował i skierował się wprost do niego:

— Pan jest Roger Mereuil?

— Tak, ale...

I piękny Roger pobladł.

— Pan domyśla się mego nazwiska? Mitre! Pan mnie nie przyjął. Szukam pana od dwóch godzin!

— Nie tak głośno, proszę pana.... Jestem na pańskie usługi... Może przejdziemy do mego biura?..

— Czy dlatego, by znowu tam czekać?...

— Proszę... niech pan pozwoli naprzód... Między ludźmi światowymi zbyteczny wszelki rozgłos... Jeżeli pan żąda zadośćuczynienia, jestem gotów...

Weszli do biura pana Mereuil, który wskazał fotel swemu przeciwnikowi. Tutaj przynajmniej można rozmówić się bez zwracania powszechnej uwagi.

— Pan nie wątpi, co mnie tu przyprowadza?

— Ach, mój Boże, proszę pana...

— Pan jest kochankiem mej żony.

— Protestuję...

— Nie będzie pan miał czelności przeczyć...

Pan Mereuil poczuł się obrażonym:

— Niczemu nie przeczę... a ponieważ jestem gotów bić się...

— Rzeczywiscie — zawołał Mitre — jest pan gotów bić się?... I już horor jest naprawiony?.... Jeżeli ja pana zabiję, czy przez to zło, jakie mi pan sprawił, zostanie naprawione? A jeżeli pan mnie zabije, gdzież będzie sprawiedliwość?

Pan Mereuil poczuł się pewniejszym siebie:

— O ile tylko nie chce pan skandalu, nie wiem, czego pan...

— Nie, panie, ja nie chcę skandalu! Niech się pan nie boi, ja nie zamącę pańskiego pożycia małżeńskiego, chociaż pan zburzył moje! Chcę panu oddać tylko to, co do pana należy.

Wyjął z kieszeni oba pudełka i rzekł drżącym głosem:

— Oto biżuterya, którą pan dał mej żonie, by ją zgubić. Proszę, niech pan zabierze ją z powrotem.

Pan Mereuil spuścił oczy, zawstydzony rolą, jaką tu odgrywa.

— Powiedziała mi również żona, iż wręczył jej pan kilka razy różne sumy pieniężne, które razem wynoszą dwa tysiące dwieście franków i pięćset franków, które wczoraj miała w woreczku. Czy tyle? Czy więcej to stanowi?

Pan Mereuil nie pamiętał... Tak, musiał dać Ninetce więcej, lecz szczęśliwy, że cała sprawa przyjmuje taki obrót, ani pojedynku, ani żadnego skandalu, jako prawdziwy gentleman potwierdził natychmiast:

— Tak, tyle...

— Proszę policzyć—rzekł Mitre, składając przed nim pieniądze.

— To zbyteczne...

— Przepraszam, jest to konieczne.

Pan Mereuil musiał poniżyć się do przeliczenia, co zresztą uczynił bardzo szybko. Wtedy odezwał się Mitre, a w oczach jego błyszczała godność i duma:

— Nie życzę panu tych cierpień, jakie zniosłem przez pana, choć nic złego nie uczyniłem. Więcej pana żałuję, niż pogardzam. Smutne zajęcie uwodziciela. I chociaż ja jestem nieszczęśliwy, wolę być sobą, niż panem.

Pan Mereuil, który stał z pochyloną głową, próbował zachować swą godność: szukał odpowiednich słów, lecz ich nie znalazł; nic nie mógł odpowiedzieć panu Mitre, który mówił to, co mu dyktowało zranione serce.

Teraz przybity, wyczerpany, lecz spokojny, znalazł się pan Mitre u siebie. Naprzód poszedł do Made, potem zwrócił się do żony.

Oczekiwała go, leżąc na kanapie. Pierwsze jej słowa były krzykiem przerażenia:

— Będziecie się bili!

Na ten romantyczny okrzyk odpowiedział wzruszeniem ramion. Opuściła głowę zawiedziona, znajdując swego męża nie dość bohaterskim.

— Nie rozumiem — odpowiedział sucho — coby to naprawiło. Widziałem pana Mereuil i oddałem mu biżuteryę i pieniądze. Byłem także u tej Amelii. Zdaje mi się, że będzie to zbytecznem żądać od ciebie słowa, byś nigdy już z nimi się nie spotkała.

— Przyrzekam ci to — odpowiedziała swemi pięknemi ustami, które tyle razy kłamały.

— Teraz, Germaine, te pieniądze, które musiałem pożyczyć — położył nacisk na te słowa — winienem zwrócić, w tem ty mnie dopomożesz. Nie możemy żyć nadal tak rozrzutnie. Zastanawiałem się nad tem. Musimy zaprowadzić w swem życiu zmiany.

Minę miała przestraszoną, w oczach malowała się obawa: przecież nie będą mieszkali na szóstem piętrze ze służącymi i nie pozbawi się toalet?

— Przedewszystkiem oddalimy od miesiąca mamkę i ty sama będziesz zajmowała się dzieckiem, wychodziła z niem na spacer. Jednem słowem będziesz zajmowała się swą córką. Następnie...

Powtórzyła machinalnie:

— Następnie?

Tego to już za wiele — myślała — bym ja miała stać się niańką!....

Mówił dalej:

— Przygniata nas komorne, musimy przenieść się poza miasto, do Neuilby albo Vincenes. Konieczne są oszczędności. Będzie tam zarazem i letnie mieszkanie.

— Lecz, mój drogi,...

— Taka jest moja wola — odpowiedział pan Mitre ze stanowczością, jakiej sam się nie spodziewał. — Musisz zrzec się strojów, tych wielkich kapeluszy, szumnych sukien. Żadnych także wizyt zbytecznych....

— Przecież!...

— Twój honor, który chcę ochronić, więcej jest wart od wszelkich poświęceń. Czy sądzisz, że ja nie cierpię?

— Och, mój Boże!... westchnęła młoda kobieta.

We wszystkich tych postanowieniach widziała tylko ciężką tyranię. Mieszkać poza Paryżem, nie, ona umrze z nudów! Nic już teraz nie pozostaje jak chodzić w barchanowych spódnicach i w trzewikach podkutych gwoździami.

— Och, mój Boże, mój Boże!...

Przez chwilę, pan Mitre patrzył na nią niewzruszenie, potem wziął kapelusz, tekę z papierami i wyszedł.

Niewolnik obowiązku codziennego, poszedł do ministeryum. Zasiadł na nowo do pracy.

XXII.

ZOFIA MÓWI, MISS HALLAM MILCZY.

Po wyjściu z mieszkania Joanny, państwo Morailles nie zamienili z sobą ani jednego słowa przez cały czas jazdy samochodem. Ona, drżąc cała, czyniła heroiczne wysiłki, by zapanować nad sobą. On z czołem zmarszczonem zastanawiał się nad zebranemi wiadomościami.

Chciał jak najprędzej doprowadzić do decydującej rozmowy, czuł jednak, że ani miejsce teraz ku temu, ani czas. Zresztą nie miał żadnego interesu w przyspieszaniu kryzysu. Co podejrzywał? Wszystko. Co wiedział na pewno? Nic.

Roggers mógł tutaj wiele wyjaśnić, oczekiwał też go niecierpliwie i wydał nawet odpowiednie zlecenie Kajetanowi. Co zaś do obecności pana Le Chars u Joanny, było ono więcej, niż podejrzane, dziwnem też było i przyznanie się jej do macierzyństwa. Najwięcej dowiedział się z przypadkowego wysłuchania rozmowy, jaką toczyli ze sobą John i Zofia, główny kamerdyner i główna pokojówka pani.

— Nie wiem, co się stało pani rano; była pod niecona, a pan wie, jak ona nad sobą panuje. To pewnie z powodu tego, co w dziennikach przeczytała; nigdy ich nie bierze do ręki, a dzisiaj kazała sobie przynieść pięć czy nawet sześć. Potem nagle zawołała: Prędko, muszę wyjść, okrycie!

W innym wypadku na samą myśl zwracania uwagi na rozmowę służby, duma pana Morailles byłaby dotknięta, teraz jednak słuchał.

John nie odpowiadał nic.

— Tak — mówiła dalej Zofia swym nieprzyjemnym głosem — pan nie chce nic powiedzieć złego o pani, lecz pan tak myśli, jak i ja, że w tym domu jest jakaś tajemnica i że pani... Zresztą nic, jednem słowem jest tu coś nienaturalnego. I jestem pewna, że gdyby miss Hallam chciała mówić!...

— Panno Zofio — odezwał się z powagą John — powtarzam, że sądzenie o państwu w rzeczach, które nie tyczą się pani zajęcia, uważam za nieodpowiednie, *inproper*. Każdy winien być na swojem miejscu, moja panno.

— Och, tak! Pan przed bogatymi i utytułowanymi toby plackiem leżał. A oni nie więcej warci od nas.

— Proszę mi głowy nie zawracać temi historyami.

— Ach! John! Gdyby mnie pan kochał choć trochę, to takby się do mnie nie odzywał.

Pan Morailles zawrócił do swego apartamentu i zadzwonił natychmiast na Kajetana.

— Powiedz miss Hallam, że pragnę z nią widzieć się.

Zaledwie wypowiedział te słowa, już ich żałował, lecz Kajetan zaraz wyszedł. Dlaczego w takim razie nie zawołać i Zofii? Ona z bojaźni lub chciwości wszystko powie. Lecz czyż można poniżać się do tego stopnia?

Kajetan oznajmił:

— Miss Hallam jest w gabinecie pana markiza.

Markiz powitał ją i uprzejmie wskazał jej fotel.

— Spodziewam się, miss Hallam, że pani nie przeszkodziłem, a zarazem przepraszam, iż nie prosiłem o pozwolenie przyjścia do pokoju pani.

Bardzo czuła na grzeczności, uśmiechnęła się wdzięcznie, okazując dwa szeregi długich, żółtych zębów.

— Przez czas pobytu swego w tym domu, pani, miss Hallam, dała tyle dowodów poświęcenia swego, iż nie zdziwi to panią, jeżeli poproszę o kilka chwil poufnej rozmowy, jak z przyjaciółką naszej rodziny.

Stara Angielka opuściła z namaszczeniem swój długi nos i wyciągniętą brodę, pragnąc okazać w ten sposób wielką uwagę.

— Sprawa, którą chcę poruszyć, jest bardzo delikatna, zwracam się też z całem zaufaniem do pani doświadczonego taktu i prawości. Pani zauważyła tutaj z pewnością wiele rzeczy. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pani zechciała mi powiedzieć, czy nie spostrzegła czegoś takiego, coby mogło naruszać cześć, jaką zawsze, mimo wszystko, będę czuł dla pani Morailles.

Miss Hallam zdawało się, iż sztywnieje, tak namaszczoną przybrała minę.

— Wiem aż nadto dobrze, co jestem winna domowi, w którym przebywam, bym miała się wtrącać w nieswoje rzeczy. Jestem tylko do dziecka, nie śmiałam też nigdy mieszać się do jego matki.

— Nie wątpię o tem, miss Hallam. Lecz proszę mi wierzyć, że jeżeli pytam się, to mam do tego prawo, a nawet obowiązek. Źli ludzie mogli wzbudzić w moim umyśle pewne wątpliwości, co do nienagannego w moich oczach postępowania markizy. Odwołuję się też do pani sumienia z prośbą o odpowiedź, czy te posądzenia są fałszywe, jeżeli zaś mają one jaką podstawę, to wtedy honor pani nakaże powiedzieć mi wszystko.

Miss Hallam zaczerwieniła się cała i odpowiedziała stanowczo:

— Te zapytania wychodzą poza ramy mego obowiązku i mego zajęcia.

Pan Morailles pobladł.

— Odmawiając mi odpowiedzi, pani tylko oskarża.

Guwernantka wstała i z twarzą coraz czerwieńszą odrzekła:

— Proszę przyjąć moją dymisyę. Bardzo mi ciężko rozstać się z Andrzejem, lecz zapytania pana markiza stawiają mnie w położenie, uwłaczające mej godności osobistej.

— Proszę lepiej przyznać — zawołał markiz ze złością w oczach — iż pani zaprzeczyłaby wszystkiemu, gdyby uważała panią Morailles za niewinną. Lecz pani chce ukryć, iż sama posiada wątpliwości, a nawet może i pewność...

— Odpowiedź moją może pan markiz tłomaczyć jak sam zechce, ja nic więcej nie powiem — odezwała

się lodowatym tonem miss Hallam. — Proszę wybaczyć, że wychodzę stąd.

— Nie zatrzymuję pani.

Po zamknięciu się drzwi za nią, markiz wpadł w gniew. Jak ona śmiała tak mówić. Ona wie coś. Dobrze! Poniżymy się aż do badania służby, a prawdę na wierzch dobędę.

Zadzwonił.

— Chcę w tej chwili widzieć Zofię! — rozkazał staremu służącemu.

W kilka minut potem weszła do gabinetu blada i niepewna siebie pokojówka. Markiz spojrzał na nią badawczo.

— Zofio, przypadkiem słyszałem twoją rozmowę z Johnem. Mógłbym cię natychmiast wydalić. Wolę się jednak dowiedzieć, jakie masz powody do podejrzywania pani.

Wejrzenie swe starała się ukryć pod powiekami, które skromnie opuściła. Nic odpowiedziała nic, była jednak oniemiała.

Markiz wyjął z szuflady bilet tysiącfrankowy.

— Słucham, rzekł ostrym głosem. Jeżeli rzuciłaś kalumnię na panią, nie pozostaniesz tutaj ani minuty, jeżeli wyznasz wszystko, zostaniesz zapłacona.

Zofia postawiona między temi krańcami: drzwi lub pieniądze, niechętna zawsze dla markizy, zaczerwieniła się, potem zbladła i wyszeptała:

— Mówią, że... to tylko bajki.... Nie chciałabym, by pan markiz, ponieważ mnie już słyszał, sądził, że...

Wyjął z szuflady drugi tysiąc franków. Oczy Zofii zabłysły z chciwości. Ponieważ wszystko skłaniało ją do mówienia, odezwała się:

— Ja nie wiem nic pewnego, lecz że jest jakiś sekret między panią markizą a tą Joanną Dandre, za to dałabym swą głowę. Według mnie, to ten sekret odnosi się do dziecka, które Dandre wychowuje.

— Proszę mówić: Pani Dandre. Słucham dalej.

— Gdy pan markiz po powrocie z Ameryki udał się na polowanie, a pani markiza wyjechała do Roche Forte, jeszcze tego dziecka nie było. Dopiero zaczęto o nim mówić po dwóch tygodniach, gdy pani Dandre wzięła je od swych kuzynów, którzy, zdaje się, wyjechali do Chin.

— Dobrze: i co dalej?

Zauważyłam przytem, że pani markiza nie chciała wziąć z sobą nikogo ze służby. Pani pojechała samochodem na dworzec lioński i tam służący kupił bilet pierwszej klasy. Wszyscy myśleli, że pani markiza jest w Roche-Forte.

— A potem? — odezwał się suchym głosem markiz.

— Pani tam nie było.

— Jakto?

— Pani markiza przybyła tam dopiero po tygodniu i była bardzo słaba, lecz nie wiem, po co ja to mówię panu markizowi — odezwała się ze skrytą radością, iż może sprawić przykrość swemu panu — gdyż bez wątpienia pan markiz zna już te wszystkie szczegóły.



Słuchaj — rzekł ostrym głosem — jeżeli rzucałaś kalumnie na panią, nie pozostaniesz tutaj ani minuty...

— A skąd wnosisz, że pani nie udała się odrazu do Roche-Forte?

— Gdyż na drugi dzień pan Andrzej zachorował na gardło i miss Hallam telefonowała do zamku, ale pani markizy tam nie było. Następnego dnia miss Hallam znowu telefonowała i posłała potem po doktora, który w dwa dni wyleczył pana Andrzeja. Miss mówiła, że to czyni na rozkaz pani, która jest cierpiąca w Roche-Forte.

— No więc.

— Ale miss Hallam nie mówiła prawdy. Dowiedziałam się, że dopiero w tydzień potem przyjechała tam pani.

— Jak się o tem dowiedziałaś?...

— Od ogrodnika z zamku.

— Czy jesteś pewna, że miss Hallam?...

— Zupełnie pewna...

— Co więc z tego wnioskowałaś? — odezwał się markiz, starając się wyrazić w głosie swą wzgardę.

— Ja nie pozwalam sobie na sądzenie swych państwa.

— Zapominasz, że przed chwilą pozwoliłaś sobie na bardzo wiele!

Zofia przelęknięta opuściła głowę.

Markiz zrobił ruch jakby z dwóch biletów tysiącfrankowych, które miał w ręku, jeden chciał schować do szuflady.

— Czy tylko tyle wiesz?

Zofia spostrzegła ten ruch, pośpieszyła też dodać:

— Wiem tylko, że służba w zamku robiła plotki...

— O czem?

— O obecności pana Roberta Le Chars, gdy pan markiz podróżował.

— Co mówiono?...

— Że stara się podobać pani markizie.

— I więcej?

— Już nic nie wiem, tylko to, że pani od tego czasu bardzo zmieniła się dla mnie. Nie chce, bym ją ubierała, trzyma mnie zdaleka od siebie.

— Czy to wszystko?

— Zupełnie wszystko, proszę pana markiza.

— Więc z powodu tych nędznych plotek ośmieliłaś się mówić o jakichś tajemnicach i nie mieć uszanowania dla swej pani. Sama pojmujesz, że w takich warunkach nie możesz pozostawać dłużej w służbie. Zbyt wiele pozwalasz sobie.

Zofia zzieleniała, słysząc ten wyrok.

— Byłaś jednak szczerą. I za to tylko wynagrodzę cię, gdyż nic mi nowego nie powiedziałaś. Masz oto dwa tysiące franków.

Wyciągnęła po nie drżącą z chciwości rękę.

— Radzę ci, byś o tem nikomu ani słowem nie wspominała. Zrobię dla ciebie to, iż polecę cię księżnej Saint-Jorre, która szuka teraz pokojowej.

— Bardzo dziękuję panu markizowi.

Odprawił ją ruchem głowy i zadzwonił na Kajetana, by wezwał guwernantkę. Weszła z poważną miną, marszcząc brwi, jakby gotowała się do odparcia jakiego ataku.

— Miss Hallam, pani powiedziała mi, że za swój obowiązek uważa tylko wychowywanie mego syna?

— Tak jest.

— Pani więc nic nie może skrywać przedemną, co się jego tyczy?

— Bez wątpienia.

— A dlaczego pani zachowała w tajemnicy ten wypadek?

I pan Morailles zapytał ją o chorobę Andrzeja.

Miss Hallam odpowiedziała:

— Zdałam z tego sprawę w swoim czasie pani markizie; na tem kończy się mój obowiązek.

— Nie, pani obowiązkiem jest powiedzieć mi, czy pani Morailles była przez tydzień nieobecną w zamku, gdy wszyscy sądzili, że tam bawi i gdy pani telefonowała o chorobie syna.

— Proszę spytać się o to pani markizy. Nie do mnie należy dawać tutaj odpowiedzi; ośmielę się tylko powiedzieć, że takie zapytania nie są godne ani lorda ani gentlemana.

— Miss Hallam! — zawołał rozkazującym tonem markiz. — Pani zapomina się bardzo!

— Nie, panie, ja się nie zapominam. Wiem, że uprzejmość pana i pani Morailles uczyniły mój pobyt tutaj miłym, lecz wdzięczność nie nakazuje mi zdradzać pani, jak również nie zdradziłabym pana markiza, gdyby mnie pani o coś podobnego zapytywała.

— To bardzo pięknie, miss Hallam. Uczucia takie czynią tylko zaszczyt pani — odezwał się markiz, hamując swą wściekłość.

— Pan markiz pozwoli, że pod pozorem powrotu do Anglii stąd wyjadę; obowiązki moje kończą się trzydziestego tego miesiąca.

— Jak pani dogodniej. Spodziewam się, że mimo tego nieporozumienia, pani nie zachowa nas w złej pamięci?

— Nie, panie — odpowiedziała stara guwernantka i mimo całego stoicyzmu łzy jej popłynęły z oczu.

— A więc, miss Hallam, pożegnajmy się jako dobrzy przyjaciele. Czy zechce mi pani podać rękę?

Guwernantka wahała się. Markiz stał się bardzo uprzejmym, uśmiechał się, jak tylko on to umiał czynić, nie chciała jednak niczem wiązać się z nim. Skłoniła się i nie przyjmując wyciągniętej ręki, wyszła.

Pan Morailles wzruszył ramionami.

— Stara waryatka. Andrzej nic na tem nie straci, jeżeli nie będzie patrzył na tego głupiego manekina.

— Kajetan! — zawołał głośniej — Kajetan!... Jeszcze jeden, którego trzeba stąd wymieść... Zupełna już z niego ruina! Na nowo trzeba cały dom urządzić! No, wreszcie, całą godzinę już wołam! Palto, kapelusz! Aha! A jak pan Smith przyjdzie...

I pan Morailles po wydaniu rozkazu wyszedł. Na ulicy kupił zaraz *Matin*. Oczy jego padły na artykuł: Dziwna tajemnica.

Udał się natychmiast na ulicę Longchamp, nie przypuszczając nawet, jak się zadziwi, spotykając tam naprzód swą żonę, potem Maurycego Le Chars.

O tych wszystkich sprawach rozmyślał markiz, jadąc razem z żoną samochodem. Koło kościoła Magdaleny odezwała się:

— Każ stanąć.

— Czy chcesz wysiąść?

— Tak, mam dzisiaj przymierzać u Laquina.

— Lecz to dopiero na ulicy de la Paix.

— Chcę przejść się trochę; jest ładna pogoda.

Samochód zatrzymał się. Pomógł jej wysiąść, śledząc przez chwilę oczami jej wdzięczną, elegancką postać. Samochód pomknął dalej, do domu.

XXIII.

ZWIERZENIA.

Pani Morailles odetchnęła swobodnie, nie czując na sobie wzroku męża. Dokąd ma iść teraz? Położenie z chwilą każdą pogarszało się. Niespodziane przybycie do Joanny pana Morailles, ten powrót milczący, wszystko to zapowiadało bliską burzę. Co robić? Czy wrócić do Joanny, lecz co pomyśli Maurycy Le Chars, widząc jej niepokój? Nie mogąc na nic zdecydować się, smutna i osłabiona skierowała się na ulicę de la Paix, do krawca, by przymierzać suknie, wybierać koronki, jak tego żądał kodeks wielkoświatowy. A może mąż pójdzie za nią i tam, by śledzić wszystkie jej kroki?

Po wyjściu od Laquina poszła w stronę Sekwany, szybko przebiegła most i podążyła do przyjaciółki, uciekając przed natrętnymi przechodniami, którzy, widząc kobietę eleganco ubraną i samą, uważali, iż mają prawo ją zaczepić. Tak doszła do ulicy Grenelle, gdzie spotkała się niespodzianie z Joanną.

— To ty, Joanno?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon znakomitego lekarza-filantropa.

Nauka polska poniosła dotkliwą stratę. W Warszawie zmarł Dr. Teodor Dunin, znakomity klinicysta, znany powszechnie w piśmiennictwie lekarskiem kraju i zagranicy. Zgon znakomitego lekarza-filantropa przejął żalem tysiące ludzi, ktorzy zmarłemu zawdzięczali zdrowie i życie i spowodował



Zgon znakomitego lekarza-filantropa: Zmarły w Warszawie ś. p. Dr. Teodor Dunin.

w warszawskim świecie lekarskim lukę, jaka nie tak prędko da się zastąpić. Po śmierci ś. p. Chałubińskiego, Dr. Dunin był pierwszą powagą między warszawskimi internistami tak na polu piśmiennictwa lekarskiego jak i w zawodzie praktycznym: tysiące cierpiących szukało i znalazło u niego ulgę w swych dolegliwościach, roznosząc po całym kraju jego sławę jako znakomitego lekarza i prawdziwego dobroczyńcy cierpiących.

Dr. Dunin urodził się w r. 1854 w Wyganowie w Kieleckiem. Po ukończeniu uniwersytetu warszawskiego wstąpił jako ordynaryusz do szpitala Dzieciątka Jezus, nie przestał jednak dalej pracować naukowo i w r. 1881 uzyskał doktorat wszech nauk lekarskich. Jako młody lekarz należał ś. p. Dunin do odnowicieli *Gazety lekarskiej* w której zamieszczał największą ilość swych prac z zakresu medycyny wewnętrznej, za jego też sprawą zaczęto przy niej wydawać *Odczyty kliniczne*. Prócz tego drukował wiele rozpraw w *Medycynie*, *Kronice lekarskiej Pamiętniku Tow. Lekarskiego* oraz po niemiecku w *Archivum Virchova*. Warszawscy lekarze dwukrotnie obierali go prezesem swego Towarzystwa, oddali mu przewodnictwo w Towarzystwie hygienicznem i Stowarzyszeniu lekarzy polskich, którą to godność piastował od chwili powstania stowarzyszenia aż do chwil ostatnich. Brał też udział w różnych komisyach i komitetach, związanych ze sprawami lekarskiemi, wnosząc chęć do pracy i dając piękny przykład swą gorliwością o dobro społeczeństwa.

Podczas zjazdów powierzano ś. p. zmarłemu w uznaniu jego zasług naukowych bardzo często przewodnictwo, jak to miało n. p. miejsce w czasie IX zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie. Przy Szpitalu Dzieciątka Jezus założył własnym kosztem pracownię naukową, której wielu młodszych lekarzy zawdzięcza pogłębienie i uzupełnienie swych fachowych wiadomości. Prócz pracy zawodowej brał też Dunin gorliwy udział w założeniu Towarzystwa opieki nad dziećmi i organizacyi warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, był też członkiem licznych instytucyi społecznych. Największą jednak zasługą zmarłego było założenie Sanatoryum dla piersiowo-chorych w Rudce, które pozostanie na zawsze żywym pomnikiem zacnego filantropa.

Pogrzeb, który przy tłumnym udziale publiczności odbył się w Warszawie w dniu 20 marca, był dowodem, jaką sympatyą i uznaniem cieszył się zmarły pośród najszerszych warstw społeczeństwa.

Austryacko-węgierska flotyla rzeczna.

Wśród innych części składowych siły zbrojnej Austro-Węgier, jednym z ważniejszych jej czynników, w razie wojny na południu monarchii, jest flotyla rzeczna, mogąca w związku z wojskami lądowemi operować po wodach Dunaju i jego większych dopływach. Składa się ona obecnie z monitorów opancerzonych: „Bodrog“, „Temes“, „Körös“, „Szamos“, „Leitha“ i „Maros“, dalej z 6 łodzi patrolowych i z jednej łodzi torpedowej — razem z 13 statków o sile 7290 koni parowych. Statki te posiadają szybkość od 15 do 18·5 kilometra na godzinę w stosunkach normalnych.

Monitory uzbrojone są w działa większego kalibru, mogące skutecznie ostrzeliwać nawet stałe nieprzyjacielskie fortyfikacye. Oddadzą one wielkie przysługi podczas przeprawy wojsk, lub budowy mostów, łodzie zaś patrolowe mogą być używane z bardzo dobrym skutkiem przy rekognoskowaniu ruchów nieprzyjacielskich.

W związku z naprężoną sytuacyą polityczną austryacko-węgierskie ministerstwo wojny poczyniło w ostatnich sześciu miesiącach daleko sięgające zarządzenia, skierowane do podniesienia gotowości bojowej całej siły zbrojnej. I tak n. p. flotyla rzeczna została postawiona na stopie wojennej jeszcze późną jesienią ubiegłego roku i zimowała w Budapeszcie.

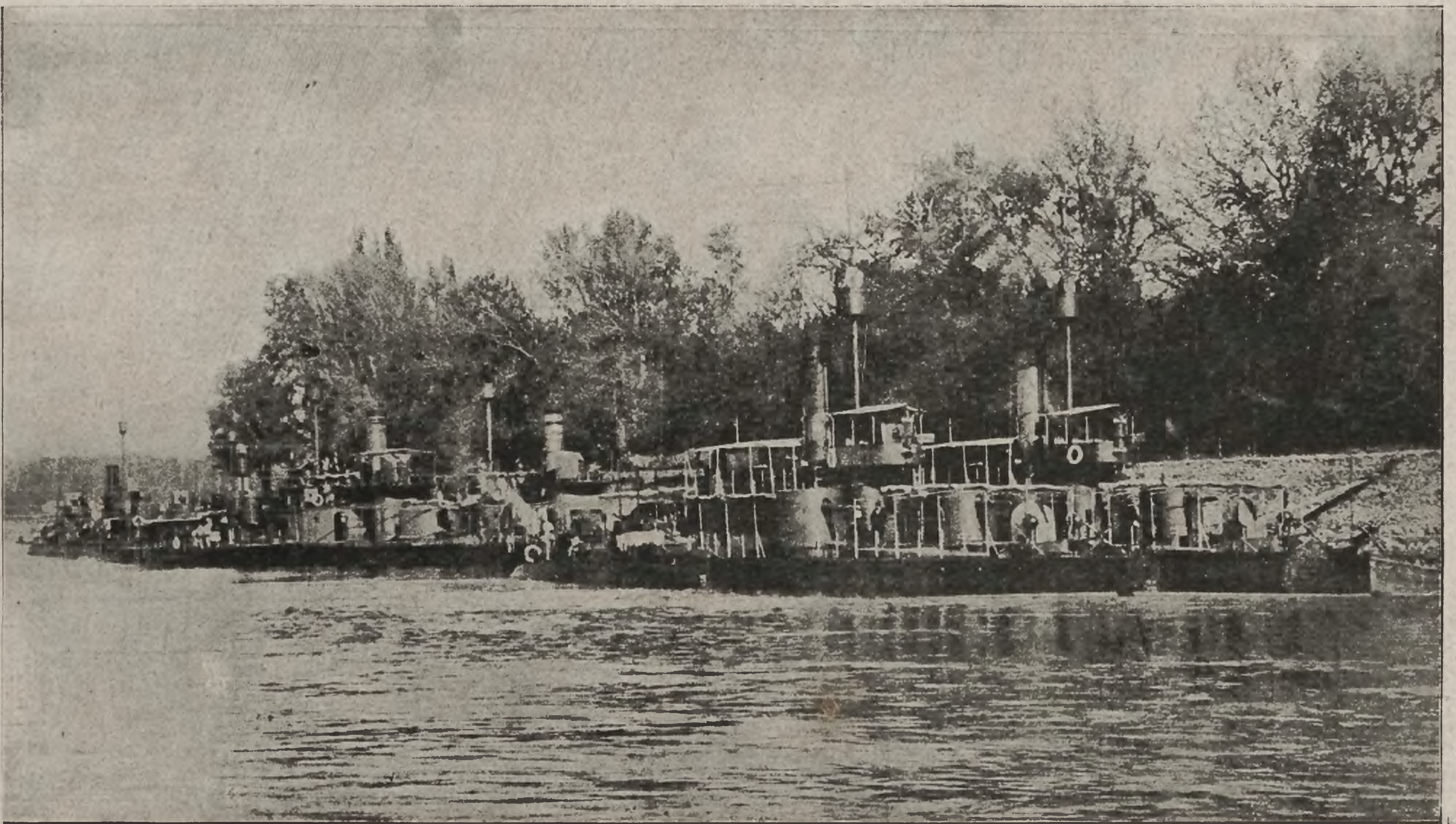


Niefortunny występ posła Trylowskiego: Dr. Kiryło Trylowski, przywódca ruskich radykałów.

Rycina nasza przedstawia ją zebraną pod Petrowaradynem, twierdzą położoną na południe od Budapesztu nad Dunajem, skąd ewentualnie rozpocznie swe działanie, gdy tego zajdzie potrzeba.

Niefortunny występ posła Trylowskiego.

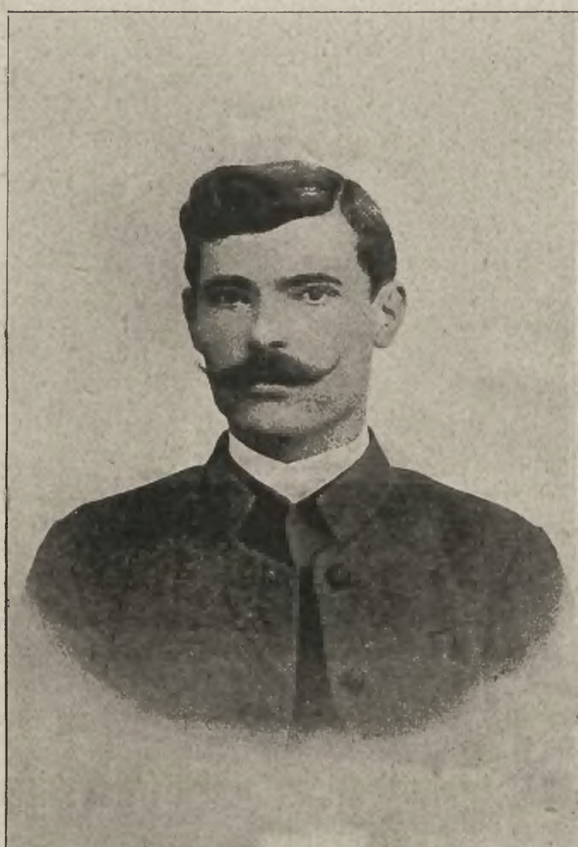
Pan dr. Kiryło Trylowski, zwany popularnie Trylem, przywódca galicyjskich radykałów ruskich, grupujących się koło założonych przez niego „Siczy“, skorzystał z dyskusyi nad kontyngentem rekruta i zaatakował armię austryacką. Pan Trylowski oświadczył, iż Rusini będą głosować przeciw uchwaleniu kontyngentu i narzekał, że żandarmi, którzy zamordowali (!) Kagańca w Koropcu, nietylko nie zostali ukarani, lecz owszem awansowali. W dalszym ciągu opowiadał, iż od swego przyjaciela, niejakiego Drohomireckiego, byłego podoficera, który w r. 1878 odbył kampanię bośniacką, dowiedział się, iż żołnierze jego kompanii rozżarzali w ogniu bagnety i nimi zabijali pojmanych w niewolę Bośniaków. Jak zwykle dogadywał mu poseł Staruch, którego cała działalność poselska ogranicza się na bra-



Austryacko-węgierska flotyla rzeczna: Monitory na kotwicy pod Petrowaradynem.

niu dyet i odzywaniu się półsłówkami w czasie dyskusyi, co wywołuje u słuchaczów zwykle tylko uśmiech politowania.

Występ ten przywódcy ruskich hajdamaków i jego godnego kompana wywołał w całej Izbie łatwo zrozumiane oburzenie, posypały się protesty, mowcę oklaskiwali tylko czescy radykali i Rusini. Ciętą odprawę dał mu minister obrony krajowej, generał Georgi, nazywając to oświadczenie bajką z romansu kryminalnego i zwykłem kłamstwem. Poseł Prochaska zwrócił uwagę panu Kiryle, że podobnemi opowieściami więcej szkodzi swemu narodowi (pułk 24, o którym mowa, rekrutuje się z okolic Kołomyi, a Rusini stanowią w nim 90 proc.), niż kiedykolwiek zdołał mu dopomódz, on jednakże upierał się przy swojem, ręcząc słowem honoru, iż rzeczywiście tak mu opowiadano.



Samouk-poeta: Ferdynand Kuraś, autor zbiorku poezyi p. t. „Z pod chłopskiej strzechy“.

Klub ruski, który w Izbie mowcę oklaskiwał, pod wrażeniem ogólnego oburzenia, jakie zwróciło się przeciw Rusinom, zebrał się na naradę, na której zajmowano się wywodami Tryla. W komunikacie oficyalnym, wydanym w tej sprawie, oświadczono, że klub nie solidaryzuje się ze słowami pana Trylowskiego, o ile dotyczyły zachowania się żołnierzy w Bośni, i że ten przemawiał nie z upoważnienia klubu, lecz we własnem imieniu. Teraz znowu obraził się Tryl na swych towarzyszy, którzy go zdradzili, i wystąpił z klubu ruskiego.

Jeśli informacye pana Trylowskiego oparte są zawsze na tak pewnych podstawach, to powinszować panu posłowi!



Zaburzenia na tle religijnem w Jerozolimie: Pogrzeb zastępcy patryachy greckiego, Melechiosa.

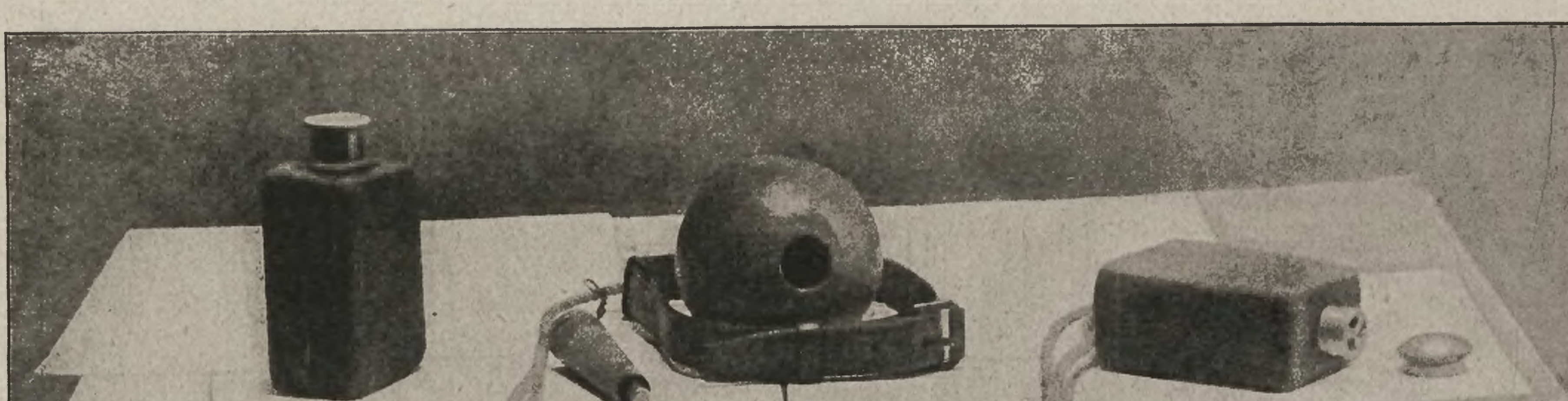
Samouk poeta.

Gorliwych pracowników na niwie uświadomienia naszego ludu ogarnia radość i zapał do dalszej pracy, gdy widzą, że ich zabiegi nie idą na marne, lecz wydają coraz piękniejsze owoce. O wzroście zastępu intelligencyi ludowej w ostatnich latach, świadczą chlubnie artykuły i listy chłopskie, któremi przepełnione są gazety ludowe, a między którymi nie brak prac bardzo cennych, pełnych uczuć i wzniosłych myśli. Między włościanami napotykamy także i poetów, których utwory odzwierciadlają wzniosłe uczucia miłości Boga i Narodu.

Jednym z takich poetów z Bożej łaski, który wszystko zawdzięcza tylko własnej pracy, jest Ferdynand Kuraś, wieśniak z pod Tarnobrzega w Galicyi, z profesyi wioskowy szewc, który przy ciężkiej pracy na kawałek chleba znalazł jeszcze czas, by kształcić się wedle możności. Owocem tej pracy a zarazem wrodzonego poetyckiego natchnienia jest zbiorek rzewnych a nader pięknych poezyi, wydany staraniem krakowskiego wydania groszowego im. Tadeusza Kościuszki.

Poeta w sukmanie urodził się w r. 1871 w Tarnobrzegu. W Sobowie począł uczęszczać do klasy pierwszej szkoły ludowej, na tem jednak musiał poprzestać, gdyż ciężko zachorował i stracił zupełnie słuch. O ile stosunki pozwalały, kształcił się odtąd sam, pracując przytem ciężko na kawałek chleba, początkowo w cukrowni w Królestwie Polskiem, potem w Galicyi w terminie. Oszczędzony grosz obracał na zakupno gazet i książek, za co często wymówki czynili mu rodzice, że będąc w takiej biedzie, grosz niepotrzebnie wyrzuca, ale on się tem nie zrażał i robił swoje. Wśród tych ciężkich warunków powstały pieśni, pełne rzewnego uczucia i głębokiej miłości Ojczyzny, do których jednak autor nie przywiązywał żadnej prawie wagi, zebrali zaś i wydali je drukiem zwolennicy i przyjaciele poety.

Obecnie zawiązał się w Tarnobrzegu komitet, który ma na celu w drodze składek publicznych zebrać potrzebny fundusz, aby dla natchnionego wieśniaka-poety zakupić kilkomorgowe gospodarstwo i w ten sposób dopomódz mu w ciężkiej doli, w jakiej się znajdnje.



Przed wojną: Ręczne granaty czyli bomby serbskie



Przed wojną: Antiaustryacka uliczna demonstracya wojenna w Belgradzie.

Przed wojną.

Doświadczenie, zebrane podczas ostatniej wojny japońsko-rosyjskiej, przekonało teoretyków i praktyków wojskowych, że wiele z rzeczy, uważanych w sposobie prowadzenia walki za przestarzałe, nie straciło swej wartości. I tak, np. bagnet, któremu przepowiadano, że zostanie wkrótce wykreślony z rzędu instrumentów bojowych, okazał się równie potrzebnym teraz, jak dawniej. Dowodem tego liczne starcia na bagnety między piechotą japońską a rosyjską, do których przyszło pod Liaojanem, Mukdenem, Port-Arturem i t. d.

Ciekawszym jeszcze faktem, niż rehabilitacya bagnetu, jest powrót do używania granatów ręcznych, które stanowiły ważny środek bojowy piechoty w XVIII wieku. Od tych ręcznych pocisków wzięła początek nazwa „grenadyerów“, którymi byli żołnierze wyborowi, odznaczający się siłą i zręcznością, niezgrabne bowiem obchodzenie się z granatem mogło być niebezpieczniejszem dla rzucającego, niż dla nieprzyjaciela.

Japończycy używali z wielkiem powodzeniem podczas ostatniej wojny ręcznych granatów, których konstrukcya do dawniejszych ma się tak, jak konstrukcya karabinu skałkowego do manlicherowskiego repetyera — są to bowiem bomby ręczne, zaopatrzone w specyalny, dowcipnie pomyślany mechanizm.

Serbowie, zabierając się obecnie do wojny z Austro-Węgrami, wiele sobie także obiecują po tych ręcznych granatach, które przedstawia nasza rycina, a w które zaopatrzyli oddziały ochotników, mające dać pierwsze hasło do boju i stanowić straż przednią armii regularnej. Granaty te, a właściwie bomby, wybuchają skutkiem odpowiedniego urządzenia dopiero w minutę po wyrzuceniu ich, przez co niebezpieczeństwo dla rzucającego jest zmniejszone. W walce w otwartem polu nie mogą mieć one zbytniego znaczenia, przy szturmach jednak lub obronie pozycyj ufortyfikowanych, oraz przy zasadzkach w terenie górzystym, oddadzą niezawodnie dobre usługi.

Druga nasza rycina przedstawia jednę z tych licznych ostatnimi czasy antiaustryackich demonstracyj ulicznych w Belgradzie, które urządza t. zw. Komitet obrony narodowej, aby utrzymać ciągły stan podniecenia szowinistycznego w tem mieście. Aczkolwiek bezstronni sprawozdawcy z Serbii zapewniają, że olbrzymia większość mieszkańców kraju nie życzy sobie wcale wojny — to jednak działalność owego Komitetu ma swój skutek i służy za środek do mydlenia oczu Europie, co do rzeczywistych opinij olbrzymiej większości Serbów. Poza



Głodomorka: Pacyentka przed rozpoczęciem kuracyi głodowej.



Głodomorka: Po ukończeniu kuracyi.



Przed wojną: Sztandary pułkowe w czasie rewii wojsk pod Belgradem.

Belgradem bowiem cudzoziemcy prawie nie stykają się z ludnością miejscową.

Na dalszej rycinie oglądamy zgromadzone podczas parady wojsk pod Belgradem wszystkie sztandary pułkowe, w chwili, gdy się odbywa nabożeństwo polowe. Z ryciny tej pokazuje się, że armia serbska posiada wcale zgrabne uniformy, przypominające uniformy armii bułgarskiej, tylko ze sukna znacznie jaśniejszego. Ciekawe są typy chorążych i asystujących im oficerów.

Ostatnia wreszcie rycina przedstawia dziewczęta wiejskie w ich malowniczych strojach, gdy przybyły do Belgradu, aby pożegnać swych bliskich, których wcielono już w szeregi armii, gotującej się do wojny.



Przed wojną: Dziewczęta wiejskie na ulicach Belgradu.

Głodomorka.

W berlińskim szpitalu Charité, odbywała kuracyę głodową panna Klara Serval, siostrzenica sławnego niegdyś głodomora Dra Tannera. Poddała się ona dobrowolnie kuracyi głodowej, aby umożliwić lekarzom studya nad przemianą materyi w ciele ludzkiem oraz badania wartości rozmaitych środków spożywczych, które będzie się jej podawać po ukończeniu kuracyi. W szpitalu zajmowała p. Serval szczelnie zamknięty pawilon szklany, zaopatrzony motorem, który doprowadzał świeże powietrze i umożliwiał odpływ zużytego. Przez pierwsze dziesięć dni wstrzymywała się pacyentka, pozostająca pod ciągłą kontrolą dwu lekarzy, nie tylko od jedzenia, ale i od picia, tracąc codziennie funt z wagi ciała, później, gdy ciało pozbyło się wody, utrata ta spadła do 100 gramów na dzień. Po dziesięciodniowem wstrzymaniu się od jedzenia i picia, rozpoczęła p. Serval dwudziestodniową głodówkę, używając codziennie tylko małej ilości wody mineralnej.

Nowoczesna głodomorka, licząca ponad 30 lat życia, przez długi post leczyła się z szalonej migreny, na którą często zapadała a zawsze z pomyślnym skutkiem. Dotąd odbyła trzydzieści kuracyi, z których każda trwała miesiąc, przepościła więc w życiu półtrzecia roku i w ten sposób oszczędzić mogła około 12 tysięcy marek. Jest ona przekonaną, że system ten uszczęśliwi ludzkość, wątpić jednak należy, czy uda się jej znaleźć wielu naśladowców, jakkolwiek w szpitalu Charité miała już dwie poprzedniczki, niedawno pannę Mrotek, a w r. 1906 panią Denk. Przyznać trzeba, że na obecne ciężkie czasy, gdy drożyzna tak się nam daje we znaki, system głodowy p. Serval powininien się spopularyzować.

Zaburzenia na tle religijnem w Jerozolimie.

Grecy, zamieszkujący państwo ottomańskie, znani są ze swej nietolerancyi wobec innych narodowości, które wyznają religię prawosławną. Skutkiem tej nietolerancyi oderwali się już dawniej od greckiego egzarchatu carogrodzkiego Rumuni i Bułgarzy, utworzywszy samodzielne egzarchaty w Bukareszcie, względnie Sofii. W samej Turcyi jednak mieszkają pomniejsze narodowości, jak n. p. Syryjczycy, lub pewna liczba Arabów w Palestynie, wyznających prawosławie i nad tymi właśnie wykonywać chce greckie duchowieństwo supremacyę bezwzględną, tylko własne interesy materyalne mając na oku.

Z tej racyi przychodzi często między przedstawicielami duchowieństwa greckiego, a wymienionemi narodowościami do ostrych zatargów, pociągających za sobą nawet ofiary w rannych i zabitych.

W ostatnich czasach palestyńscy Arabowie prawosławni zażądali od synodu greckiego w Jerozolimie, aby przedłożył rachunek z użycia składek, nadpływających dla nich z zagranicy, są bowiem bardzo biedni. Patryarcha Damianos skłaniał się do tego żądania, natomiast synod ani chciał słyszeć o składaniu jakichkolwiek rachunków i zasuspendował patryarchę. W kilka dni później zmarł nagle wyznaczony przez synod na zastępcę Melechios, w czasie pogrzebu którego przyszło do krwawych walk ulicznych między zwolennikami synodu, a jego przeciwnikami. Sześciu ludzi przypłaciło życiem obronę swoich przekonań, a kilkanaście odniosło ciężkie poranienia. Władze tureckie zachowują się biernie wobec tych wybuchów namiętności stronniczych, trzymając się jak zwykle wobec chrześcijan zasady: *divide et impera!*

* * *

Rycina nasza przedstawia wyniesienie zwłok zastępcy patryarchy Melechiosa z klasztoru, w którym życie zakończył.



Syn Milana w Berlinie: Michał Christicz Obrenowicz, popisujący się obecnie w strzelaniu w cyrku Schumanna w Berlinie.



Gość egzotyczny w Paryżu: Księżna Naszimato z córeczkami.



W obawie inwazyi: Uczniowie kolegium w Eton, podczas ćwiczeń wojskowych.

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

10 (Dokończenie.)

— Tak, tak — rzekł niecierpliwie sir John — lecz to ja jestem tym oskarżonym: niech pan mówi bez ogródki, iż policya uważa, że ma doskonałe dane co do mego aresztowania; czyż nie tak?

— Istotnie tak; zdaje mi się, że nie potrzebuję panu zwracać wcale uwagi, iż najbardziej wskazaną jest zupełna ze mną szczerość. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli pan ma jakiś drobny szczegół, który w zwykłych warunkach chciałby zachować dla siebie, obecnie nie może się pan wahać ani chwili ze zwierzeniem mi go; może pan mi wierzyć, że szczerze w pańskim interesie doradzam.

— Ależ, drogi panie, ja już wszystko powiedziałem, co wiedziałem!

— Nic mi pan nie mówił jeszcze o pani Alliston!

— Alliston? Nie znam nikogo tego nazwiska z wyjątkiem młodego Allistona, nauczyciela; kto jest ta kobieta?

— To bardzo dziwne; policya otrzymała zeznanie niejakiego Johna Hammertona, który utrzymuje, iż widział panią Alliston w Greenleafhurst na drugi dzień po zbrodni, i że ona szła do zamku. Stamtąd...

— Skłamał! — zawołał sir John, chwytając się kurczowo za poręcze fotelu; — cóż to za głupstwa? Mówię, że nigdy nie widziałem podobnej kobiety, że nigdy o niej nie słyszałem. Kto ona jest?

— Żona ofiary; policya twierdzi, iż działał pan w porozumieniu z nią i stara się dowieść, iż to pan dopuścił się zbrodni za jej namową.

— Panie Radford — rzekł baronet powstając i chodząc po pokoju — albo pan przestanie mi opowiadać podobne bezmyślne historye, albo ja oszaleję: nigdy w życiu nie słyszałem podobnego steku bzdurstw. Na miłość Boga zmieńmy temat. Jakie mają dowody?

— Dobrze — odparł adwokat, pragnąc uzyskać za wszelką cenę potrzebne wyjaśnienia, zostawmy ten temat; gdy będzie potrzeba, wrócimy jeszcze do niego.

— Tak, tak, wrócimy, ale w granicach rozsądku — zgodził się sir John, siadając. — Zapomnijmy o rozumowaniu policyi, a przejdźmy do dowodów, jakie mają na potwierdzenie mej obecności w Greenleafhurst w chwili zbrodni.

— Czy przypomina pan sobie zeznania ajenta w czasie pierwiastkowego śledztwa o śladach znalezionych w szopie?

— Owszem, pamiętam dokładnie.

— Ajent ten odkrył ślady ofiary w szopie wraz z odciskami innych stóp, ktore można uważać za ślady mordercy.

— Tak, śledztwo doszło do tego wniosku; więc cóż?

— Jeden z tych odcisków został zachowany przez pewnego młodego człowieka, nazwiskiem Muskin, który mieszka w Greenleafhurst.

— Znam go dobrze.

— Muskin ten był podobno w stosunkach z pańskim stangretem, któremu pan dawał nieraz swe stare rzeczy.

Sir John potwierdził to ruchem głowy.

— Między innemi ofiarował mu pan parę trzewików, które on sprzedał następnie temu Muskinowi.

— Chyba pan nie będzie mi opowiadał, że te trzewiki nadawały się do odcisków?

— Właśnie stwierdzono to najdokładniej.

— Ależ panie, to jest szaleństwo! Ja, Boże drogi! Co to wszystko znaczy? Czyżbym dopuścił się tej zbrodni we śnie? Nie przypominam sobie wcale, bym zbliżał się nawet do szopy na kilka dni przed zabójstwem. Wieczorem w dzień wypadku udałem się wprost z zamku do Dunstead; jechałem nie od strony szopy; niech pan pośle po stangreta, Bates, by zaraz tu przybył i niech go pan rozpyta.

— Nie można niestety tego uczynić: Bates jest powołany na świadka. Jeżeli wejdziemy z nim w stosunki, trzeba to zrobić z najwyższą roztropnością i użyć do tego trzeciej osoby, której moglibyśmy się wyprzeć w razie potrzeby; nie jest to jednak sprawa aktualna.

— Więc jakaż jest aktualna, na miłość Boga?— zawołał sir John, zrywając się z krzesła i chodząc szybko w strasznem podnieceniu po pokoju.

— Oglądałem dzisiaj rano te trzewiki bardzo szczegółowo i miałem szczęście znaleźć tam coś, co uszło oka policyi. Włożyłem rękę do środka i stwierdziłem, że były one wypchane papierami, aby nadawały się do drobnych stóp. Poprosiłem o pozwolenie przymierzenia ich; ajenci śmiali się bardzo, lecz nie sprzeciwiali się. Jak pan wie, ja nie mam nogi zbyt wielkiej i z wejrzenia trzewiki te wydawały się dla mnie za szerokie, a jednak gdy chciałem jeden z nich włożyć, nie mogłem wsunąć go na nogę.

— Czy pan im to powiedział?

— Niezupełnie; zwróciłem ich uwagę na stan trzewików i prosiłem o zanotowanie, że są wyłożone papierami; potem udałem się po żonę, którą z sobą przyprowadziłem.

— Panią Radford? — zapytał sir John, któremu zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak — odpowiedział adwokat z uśmiechem.— Może to się wydawać dziwnem, miałem jednak w tem swoją myśl i postanowiłem przekonać się, co ona warta. Poprosiłem więc ich znowu, by pozwolili żonie przymierzyć te trzewiki, bardzo ich to bawiło, zgodzili się jednak; żona włożyła je i mogła najspokojniej chodzić w nich.

— Lecz cóż to wszystko znaczy?

— Oto: jeżeli moja myśl słuszna, same trzewiki dowodzą, że używał ich ktoś inny, a nie pan. Przytem osobą tą musiała być kobieta o drobnej stopie, bardzo być może, że pani Alliston, której policya obecnie poszukuje.

— Jakże, do dyabła, mogła ona zdobyć moje trzewiki? I zresztą dlaczego chciała ich użyć?

— Jest to bez wątpienia bardzo chytry podstęp dla oszukania policyi; przedsięwzięła widocznie wszystkie środki ostrożności a między innymi zmieniła obuwie, by skierować podejrzenia na jakiego mężczyznę. Pańskie obecne położenie świadczy, iż nie było to źle pomyślane.

— Tak, w jakiż jednak sposób mogła użyć moich trzewików?

— To pytanie ja mogę panu zadać, fakt, że ona je miała, zrzuca na nią całą odpowiedzialność. Mimo to nie mamy jeszcze dowodów zupełnych, że nie był to pan, jak utrzymuje policya w porozumieniu z nią. Jest tutaj jeszcze kilka trudności na pańską niekorzyść.

— Ależ ja pana zapewniam, że ja nigdy nie widziałem pani Alliston, ani o niej nie słyszałem. Nigdy nie znałem starego Allistona, nie widziałem go ani żywego ani umarłego: nie słyszałem nawet, że ma żonę. Dlaczegóż więc jestem oskarżony o udział w zabójstwie człowieka, o istnieniu którego nie wiedziałem przez dłuższy czas?

— Pozostawmy ten punkt i przejdźmy do następnego; policya posiada mały brylant: Wilfred Alliston zeznał, że znalazł go w szopie cygańskiej na drugi dzień po zabójstwie swego ojca.

— I cóż z tego? — zapytał ciekawie baronet.

— Sposób, w jaki on go odkrył, dowodzi, że zgubiła go osoba znajdująca się w szopie w chwili zbrodni. Z drugiej strony Muskin utrzymuje, iż widział pewnego dnia u pana na dewizce od zegarka pierścionek, w którym brak było właśnie brylantu. Był on specyalnego kształtu.

— Boże! — zawołał sir John — co pan chce przez to powiedzieć?

— Kamień ten wypadł z wszelką pewnością podczas dokonywania zbrodni.

— Na miłość Boską! ten pierścionek nie był mój, jest on żony. Przypominam sobie teraz wszystko: dała mi w dzień płacenia czynszów, gdy byłem bardzo zajęty, abym kazał wstawić kamień, który zgubiła. Przyczepiłem go do dewizki, a potem posłałem do jubilera. Ja... ale cóż, u dyabła, tak mi się pan przypatruje?

— Czy nie widzi pan, do czego zmierzają pańskie wyjaśnienia? — zawołał Radford, który podniósł się i wziął go za ręce. — Nie rozumie pan, że to kobieta używała pańskich trzewików i że brylant został zgubiony przez...

— Litości! ah! ależ nie, ależ nie! żona nie znała tego człowieka! Nigdy nie widziała...

Radford, nie słuchając dalej, podszedł do drzwi i dał rozkaz służącemu, by sprowadził dorożkę, potem zwrócił się do sir Johna i rzekł mu spokojnie:

— Spieszmy się; jedziemy w tej chwili do Greenleafhurst.

XV.

Aresztowanie sir Johna Lesterhama wywarło wielkie wrażenie w Greenleafhurst; Muskin widział przybycie ajentów i oczekiwał niecierpliwie na ich odjazd; z przyjemnością zauważył, że zabrali z sobą więźnia i pojechał za nimi w swej bryczce na kolej, gdzie zobaczył, iż wsiedli do pociągu londyńskiego. Na widok ten zatarł z radości ręce i szybko zawrócił z powrotem, opowiadając każdemu, iż kazał aresztować mordercę z Greenleafhurst i otrzyma za to dwieście funtów szterlingów nagrody. Istotnie Muskin uważał się za bohatera dnia. Chociaż policya nakazała mu milczenie, ciągle opowiadał tylko o tem. Naprzód rozwodził się przed towarzystwem zebranem pod „Czerwonym Lwem“, potem udał się do pana Ponderbury'ego, z którym obgadał wszystkie szczegóły tej sprawy, wreszcie skierował się do Wilfreda, by się pochwalić aresztowaniem sir Johna.

Nauczyciel przyjął go bardzo zimno, z widoczną niechęcią; przykrem mu było bardzo, iż policya poważnie oskarża baroneta. Z jakiego by punktu patrzył na tę sprawę, nie mógł uznać sir Johna winnym, postępowanie zaś ajentów wydało mu się zupełnie niezrozumiałem.

Po skończeniu lekcyi w szkole Wilfred wyszedł pospiesznie, by dowiedzieć się dokładnie, jak odbyło się aresztowanie. Poszedł drogą prowadzącą na dworzec kolejowy szybkim krokiem, by kupić tam sobie ostatni dziennik i zarazem zajść do hotelu, czy przypadkiem Hammerton nie wrócił już z Londynu. Z dziennika nie dowiedział się niczego nowego, chyba tylko tego, iż fakt aresztowania został już publicznie rozgłoszony. Nie było nadziei, by wiadomość ta uszła czyjejkolwiek uwagi i w istocie oskarżenie o zabójstwo sir Johna Lesterhama zostało opisane z najdrobniejszymi szczegółami. Szczęściem tylko, że dzięki staraniom przyjaciół, wieść ta nie doszła jeszcze uszu miss Gracyi.

Hammerton był już z powrotem; siadał właśnie do stołu, gdy wszedł Wilfred, który chętnie przyjął zaproszenie do obiadu. Mieli sobie wiele rzeczy do powiedzenia o postępie śledztwa przeciw sir Johnowi. Wilfred poprostu z przerażeniem dowiedział się o zarzutach skierowanych przeciw oskarżonemu. Hammerton nie opuścił żadnego faktu, nadmieniając ciągle, iż powtarza tylko to, co sam usłyszał.

— Jakie jest pańskie zdanie? — zapytał nauczyciel. — Czy sądzi pan, iż sir John jest bez powodu zamieszany w to wszystko?

— Uważam to wszystko za bardzo nieprawdopodobne; lecz co powiedzieć o tem, iż przez lata całe był tak ściśle związany z panią Alliston, która według mego niewzruszonego przekonania jest pośrednio lub bezpośrednio odpowiedzialna za całą sprawę.

— W każdym razie można wnosić, iż on coś wiedział?

— Cała ta historya jest dla mnie tajemnicą; waham się z wyrażeniem swego zdania; jeżeli tylko mógłbym odnaleźć panią Alliston, posiadłbym klucz do rozwiązania tej zagadki. Na razie nie mamy nic do czynienia; chodźmy na ganek hotelu zapalić cygaro.

— Dobrze — odrzekł Wilfred, nie mogąc skryć uśmiechu na widok obojętnego na pozór spokoju swego towarzysza.

— Niema nic lepszego dla rozerwania umysłu — dodał Hammerton siadając wygodnie w fotelu pod otwartem niebem — jak wypalić cygaro. Nie znając szczegółów, w jakich odbyło się aresztowanie, nie możemy dojść do niczego pożytecznego.

Od strony dworca jechał w ich stronę jakiś powóz: Wilfred poznał już osobę, jaka w nim siedziała; była to lady Lesterham, która przybyła na kolej w tym samym celu, co i on, by kupić ostatni dziennik. Siedziała według swego zwyczaju prosto i dumnie, jak królowa, mimo to powieki miała opuszczone, a na zaciśniętych wargach widać było wyrażenie tłumionego bólu. Ten smutny widok wzruszył nauczyciela i Hammerton spostrzegając zmianę na twarzy swego młodego przyjaciela, zapytał, co mu jest.

— To lady Lesterham, w powozie, który przejeżdża; przykro mi patrzeć na nią, gdyż musiał to być dla niej straszny cios...

Hammerton jednak nie słuchał już; w chwili gdy powóz minął go, podniósł się z miną jakby oszołomioną.

— Kto to jest? Jak pan powiedział? Niech pan powtórzy!

— Lady Lesterham.

— Nie, nie! pewny jestem, że się nie mylę; rozpoznam ją wszędzie i zawsze, to pani Alliston!

Tymczasem powóz lady Lesterham jechał galopem drogą wiodącą do zamku. Od czasu do czasu pocierała sobie czoło rękami, jakby chciała zetrzeć z niego jakąś myśl; chwilami chwytała flakon z wodą kolońską i przytykała go do nozdrzy, oddychając z ulgą. Oczy jej przymykały się na poły, a z zaciśniętych ust dobywał się jęk bólu lub rozpaczy. Cera jej stała się prawie przeźroczystą, bielszą jeszcze przez kontrast z zaczerwienionemi oczami, z których musiało wiele łez popłynąć. Wreszcie dojechała do zamku; opierając się na ramieniu pokojówki wyszła z powozu i poszła wolno po schodach do siebie. Oświadczyła, iż nie będzie jadła obiadu, zażądała

natomiast kieliszka wina do biblioteki, gdzie spędzi kilka godzin. Potem z dziennikiem w ręku opadła na fotel przed biurkiem, gdzie w ostatnich czasach tyle chwil spędziła. Zapanował już zmrok i pokój wydawał się smutnym i pustym. Zapalono świece i przyniesiono żądane wino, poczem służba cofnęła się. Wtedy zakryła sobie twarz rękami i załkała długo, boleśnie.

Nastąpiła noc; blisko godzinę pozostawała nieruchomo. Z początku płakała, jakby doznawała ostrego bólu fizycznego, potem wstrząsnęło ją nerwowe łkanie, wyrywające się z piersi ciężkimi jękami. Wreszcie zapanowała nad sobą, a z ócz jej popłynęły ciche łzy, znacząc się szklistemi bruzdami po twarzy. Po niejakim czasie uspokoiła się zupełnie. Musi władnąć sobą, myślała, gdyż w przeciwnym razie nie skończy swej powieści na czas. Jeszcze kilka kartek i zadanie będzie skończone. Dostała manuskrypt i przygotowała papier i pióro. Ręka jej drżała, gdy przewracała kartki, które już po tylekroć czytała! Nie było ich wiele mimo długiego czasu, jaki im poświęciła. Powieść ta jest krótka i nie wiele już pozostaje do napisania, by wreszcie uwolnić się od niej. Drżenie ręki minęło, gdy siadła do pracy: szybko zapełniała arkusze; myśli i słowa falą do niej napływały. Gdy zegar na kominku wydzwonił dziewiątą godzinę, odłożyła pióro z westchnieniem i pozbierała rozrzucony papier, ułożyła go w porządku i schowała do szuflady, którą wskazywała już mężowi, mówiąc, że do niej chowa swą powieść. Chciała ją zamknąć na klucz, nie mogła go jednak znaleźć; zresztą jest to drobnostka, gdyż i tak będzie on ją czytał wcześniej, niż to przypuszczała początkowo; jest to już dla niej wszystko jedno.

Potem zajęła się drugą częścią swego programu i zwolniła na noc służbę. Pozostała sama; słyszała zamykanie drzwi, kroki na korytarzach, wreszcie zaległo milczenie. Z trudem podniosła się z fotelu i podeszła do okna. Niebo było ciemne i groźne, gdzieniegdzie tylko poprzez czarne chmury przezierały blade, migocące światełka gwiazd. Podniósł się wiatr; szelest liści i trzask drzew w parku wywoływał jakąś melancholijną melodyę, która smutkiem oblewała jej duszę. Zapatrzona w mroczną przestrzeń przed sobą, wsłuchując się w burzliwy gwizd wiatru, zdawało się, iż w tragicznych tych dla siebie chwilach z wyniosłością oczekuje spełnienia się swego losu; na jej ustach błądził dawny dumny, szyderczy uśmiech. Ostatnie swe słowa kierowała do siebie:

— Oto do czego doszłam.

Mówiąc to, wyjęła z za gorsu mały flakonik z gęstą bezbarwną cieczą, który podniosła do światła; potem przeszła przez pokój i zamknęła drzwi na klucz.

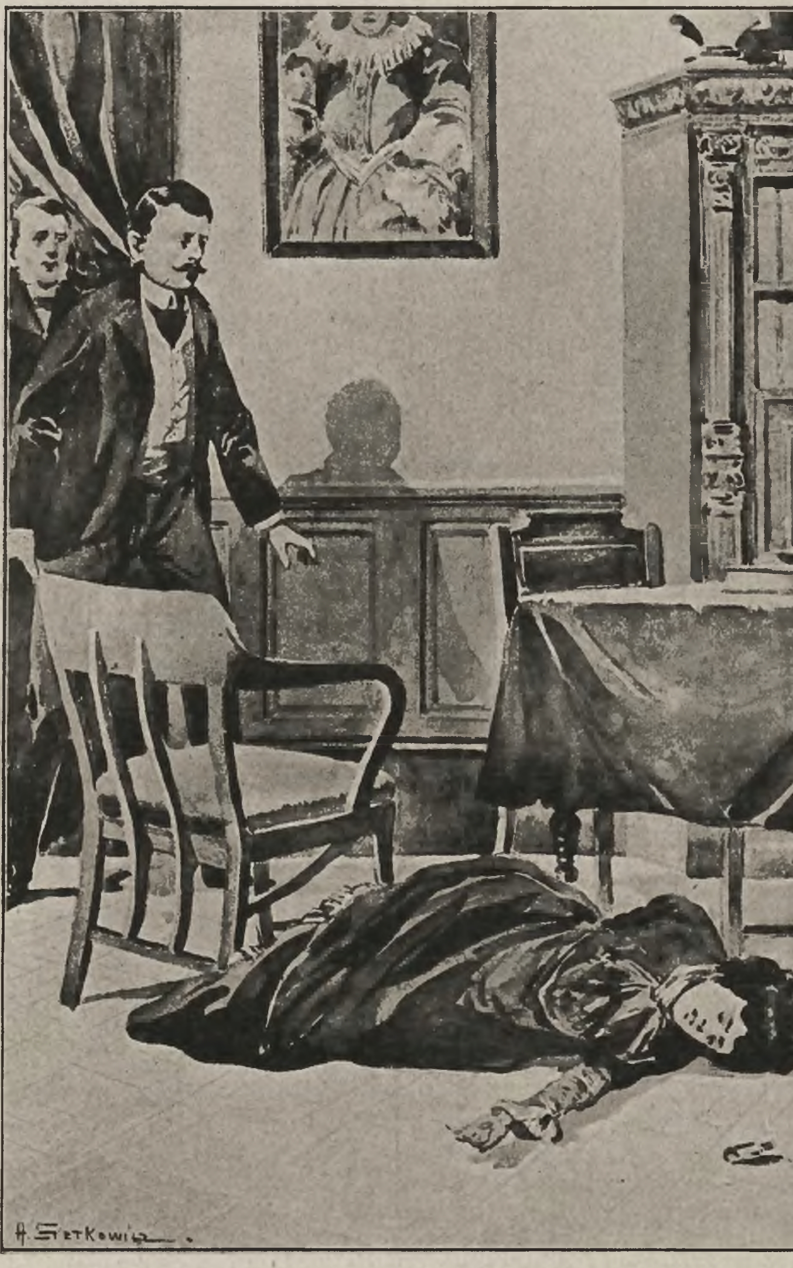
— Na co me łzy — mówiła dalej do siebie — gdy tych kilka kropli może wszystkiemu przynieść koniec. Ile ja długich dni nędzy i czarnych nocy rozpaczy przeżyłam! Walczyłam o swoją chimerę i teraz w tej walce poległam. Co za straszna myśl, by jedynym zyskiem, jaki mi przypadł w udziale po nieustannem bojowaniu, intrygowaniu i zamachach była tylko śmierć!

Z twarzą skrzywioną przez straszne cierpienie zbliżyła się do flakonu stojącego na stole i cała wstrząsnęła się z przerażenia. Załamała ręce, na których świeciły się pierścionki otrzymane od sir Johna: winna je zdjąć, gdyż nigdy nie miała prawa ich nosić! Ogołociła z nich palce i w końcu zsunęła obrączkę ślubną, zdobytą fałszem. Ułożyła je wszystkie razem przed sobą i przez chwilę spoglądała na nie z goryczą. Niegdyś wydawało jej się to wszystko tak pięknem! Zdawało się być stopniami do sławy i rozkoszy, dzisiaj stanęła nad przepaścią, a z pod drobnych jej stóp usuwa się ostatnia piędź ziemi.

Nagle jakaś myśl przebiegła jej przez głowę; uklękła, by modlić się. Wargi jej pozostały jednak lodowate bez ruchu, nie mogła nic wyrzec; w ostatniej rozpaczy padła twarzą na podłogę i zaczęła jęczeć. Po kilku chwilach podniosła się i chwytając flakon, przybliżyła do do ust. Drżąc cała, poczuła chłód płynu na wargach, lecz natychmiast wściekłym ruchem skoczyła na środek pokoju i z całej siły rzuciła szkło na ziemię, które rozprysło się w setki kawałków.

Podeszła do stołu i zebrała pierścionki; nagle zatrzymała się. Uczucie słabości, oszołomienia ubezwładniło ją; oddech stał się krótkim, urywanym; zatoczyła się i ledwie zdołała utrzymać się na nogach, opierając się o stół. Dyszała ciężko, jakby ją coś ściskało za gardło i dusiło zwolna. Szarpnęła za kołnierzyk i zerwała go, by doznać ulgi. Wszystko kręciło się w wirze dokoła niej; nogi jej się uginały; słabła widocznie, niezdolna już do żadnego wysiłku. Czuła jeszcze, że wyciągała ręce, by się uchwycić czego i padła na podłogę bezwładna jak masa. Rozumiała, co się wokół dzieje, nie miała jednak siły do żadnego ruchu. Jakby w śnie słyszała krzyki, mogła jeszcze odróżnić głos sir Johna, który wymawiał jej imię jakimś szalonym nieludzkim głosem: doleciał ją i odgłos szybkich kroków na korytarzu i w bocznych pokojach.

Próbowano otworzyć drzwi; w chwilę potem



...z trzaskiem wyrwano drzwi lecz w tej chwili nieszczęśliwa osunęła się na ziemię.

rozległo się wołanie: „Lucy, Lucy, w imię Boga otwórz!“ Ostatnim wysiłkiem, nie czując nawet tego, podniosła się na łokciu i zwróciła wejrzenie ku drzwiom, podczas gdy głowa jej chwiała się bezładnie na wszystkie strony. Z trzaskiem wyważono drzwi, lecz w tym samym momencie nieszczęśliwa osunęła się bez życia.

Sir John i Radford podbiegli ku niej i uklękli, by nieść ratunek, służba zwabiona hałasem zatrzymała się na progu przerażona.

Radford odezwał się pierwszy i cichym, poważnym głosem oznajmił:

— Przybyliśmy za późno, lady nie żyje!

XVI.

W zamku słychać tylko przytłumione głosy i ciche kroki. Służba, która znalazła się tej strasznej nocy w bibliotece, rozniosła wszędzie tę złowrogą wieść. Lady Lesterham mimo swej wyniosłości, była dobrą panią, która zawsze nawet w swych kaprysach miała dobre słowo, każące zapomnieć o okazanym niehumorze. Obecnie leży martwa z wiązanką ostatnich kwiatów letnich na piersi.

Ranka tego sir John siadł w bibliotece; z oczami utkwionemi w miejsce, gdzie padła jego żona, zdawał się budzić się z jakiegoś przeraźliwego snu. Rozmyślał o przeżytych wspólnie latach. Umarła, nie dając żadnego znaku; nie pozostawiła dla niego ani jednego słowa; a jednak mogła mu wyjaśnić wiele rzeczy, które musiała znać. Kim był dla niej ten człowiek? Wszystko wskazuje na to, iż to ona udała się do szopy, by go zabić; dlaczegóż to czyniła? Mówiono mu o pani Alliston; nigdy nie znał kobiety tego nazwiska; czy to ona nosiła je poprzednio? Trudno mu było przypomnie sobie wszystko, zwolna jednak przeszłość powróciła do niego. Wspomniał, iż opowiadała mu coś przed ślubem o poprzedniem życiu; mówiła, że w Ameryce była żoną innego mężczyzny, iż okazał się on okrutnym i że wreszcie uzyskała rozwód. Zapewniała go, że wychodzi za niego bez zmazy, jako uczciwa kobieta, która prawnie odzyskała wolność. Wierzył jej w zupełności; chętnie poddałby swą wiarę jeszcze gorszym doświadczeniom.

Nazwiska pierwszego męża nie wspominała. Sir John przysiągł jej, że nie będzie się o to dowiadywał: lepiej dla niej, gdy straci o nim zupełnie pamięć i on będzie spokojniejszy, pozostając w zupełnej w tym względzie nieświadomości. W nowem życiu, jakie on jej gotuje, zapomni prędko, zapomnienie zaś jest prawie przebaczeniem. Przypomina sobie, że jeszcze w ostatniej chwili prosiła go o pozwolenie powiedzenia pastorowi nazwiska, które przed nim ukrywa; winna to była uczynić przed ślubem. Jeżeli pastor ten żyje jeszcze, mógłby on dać świadectwo, czy lady Lesterham nazywała się poprzednio panią Alliston. Trudno wątpić o tem. Radford twierdzi, iż widziano panią Alliston, jak wchodziła do zamku; o ile żona jego nie była przedtem panią Alliston, zeznanie to jest fałszywe; nie może być tutaj innego wyjścia.

Lecz dlaczego zabiła Allistona? Przyrzekła, iż zapomni zupełnie o przeszłości; zdaje się jednak, iż mimo lat zachowała swą nieprzyjaźń i gdy nadarzyła się sposobność do zupełnej zemsty, nie potrafiła oprzeć się swym chęciom. Jeżeliby zawierzała mu wszystko, zdołałby oddalić stąd tego człowieka, lecz ona zawsze była dumną i za to może on więcej ją jeszcze kochał.

W ciągu dnia oznajmiono nieszczęśliwemu baronetowi, iż doktór był i już odjechał, iż lady przystrojono już w ostatnią toaletę i wszystko gotowe jest do pogrzebu. Sir John podniósł się i ciężkim krokiem poszedł przypatrzeć się na postać tej, którą tak kochał i której pamięć pozostanie mu drogą mimo wszystko. Wyniosły uśmiech malował się na jej ustach nawet po śmierci; spostrzegł z wdzięcznością wiązankę kwiatów, tak trudnych do zdobycia w tej porze, a zebranych przez życzliwą rękę z otoczenia, dlatego, by niczego nie brakowało przy tej żałobnej ceremonii. Nachylił się i przyłożył lekko swe usta do jej zimnego czoła; oczy jego napełniły się łzami; wyciągnął jeden kwiatek z wiązanki i schował go na piersiach. Przez godzinę pozostawał przy zmarłej, spoglądając na to drogie oblicze i myśląc o przeszłości, potem ukląkł i zaczął się modlić, jak człowiek w pełni sił, gdy spostrzega nagle całą nicość życia.

Wrócił do biblioteki; wziął do ręki pozostawione pierścionki ze stołu i dziwił się, dlaczego leżały one ułożone tutaj. Po kolei dotykał się przedmiotów, których używała do swej pracy: pióro, odciskacz, stalówki, wszystko leżało tak, jak gdyby przed chwilą wstała od pisania.

A ta dziwna powieść, która ją tak zajmowała? Powinna znajdować się w trzeciej szufladzie od góry; tak, nie mylił się. Kartki były równo złożone; poznał jej drobne zaokrąglone pismo, które tak lubił; biedna ona! Ręka jej nie napisze już ani jednej linii. Wziął manuskrypt do ręki i spojrzał; przy czytaniu pierwszego wiersza wyrwał mu się okrzyk zdziwienia: „Wyznanie Łucyi Alliston, znanej powszechnie pod nazwiskiem lady Lesterham“.

Opadł na fotel, nie mogąc opanować wzruszenia, jakie go przejęło, wreszcie po pewnym czasie uspokoił się i zaczął czytać:

„Zaczynam tę spowiedź od przyznania się do zabójstwa popełnionego tego lata na osobie Ryszarda Allistona w szopie cygańskiej w Greenleafhurst. Ryszard Alliston był moim mężem. Pobraliśmy się przed piętnastu laty w Limie (Peru). Przybyłam tam jako primadonna wędrownej trupy operowej i tam był mi przedstawiony. Wkrótce potem oświadczył mi się. Zdawało mi się, że zajmuje wybitne stanowisko tak pod względem towarzyskim, jak i finansowym, a o nic więcej mi nie chodziło. Przez całe swe życie nie wiedziałam, co to znaczy kochać kogoś lub coś. Szczęścia szukałam tylko dla siebie, a teraz jest już zapóźno, by wykazywać cały swój błąd. Pewne tłomaczenie dla swych uczuć możebym znalazła w powodzeniu w świecie teatralnym. Dobijałam się przyszłości wielkiej i wspaniałej; niestety, byłam jeszcze zbyt młodą, by mieć jakie wyrobione zdanie. Sądziłam, że po wyjściu za mąż za Ryszarda Allistona stanę się królową kolonii angielskiej w Limie, a była to zbyt kusząca dla mnie perspektywa, daleka zresztą do urzeczywistnienia, bym mogła jej się oprzeć. Stałam się jego żoną. Człowiek ten, którego uważałam za bogatego, musiał ciągle zastanawiać się, czy może wydać o jednego szylinga więcej. Życie to stało się nie do zniesienia. Więcej dostatków i uznania mogłabym zdobyć sama w teatrze. Stan ten denerwował mnie strasznie, wreszcie zdecydowałam się szukać szczęścia sama. Opuściłam Limę. Otrząsłam kurz ze stóp swoich i udałam się do Nowego Jorku. Jeszcze był czas do naprawy swego błędu i mogłam powrócić do dawnego zajęcia. Weszłam do swego królestwa i cała moja dawna ambicya odżyła we mnie. Pracowałam wytrwale przez cały rok i przyjechałam do Anglii zdecydowana zapomnieć o przeszłości i zacząć życie na nowo. Sądziłam, że będę dość oddalona od Peru, by nie obawiać się rozgłoszenia swej historyi i módz opowiadać o swem poprzedniem życiu to, co sama zechcę.

Wkrótce potem spotkałam sir Johna Lesterhama. Poznaliśmy się na koncercie dobroczynnym, na którym śpiewałam na korzyść biednych. Wzbudziłam w nim zajęcie się sobą, i spostrzegłam, że stara się o mnie. Rozważyłam całą rzecz bardzo dokładnie. Nie był tak bogatym, jakbym tego chciała, nie był jednak bez majątku, a w każdym razie daleko lepiej sytuowanym, niż Ryszard Alliston.

Powiedziałam mu, żem rozwiodła się w Ameryce i całą swą wymowę zużyłam na to, by przekonać go, iż stałam się ofiarą okrucieństwa pierwszego męża. Uwierzył mi prędzej, niż sama tego spodziewałam się. Okazywał mi wiele uczucia. Od tej chwili zdawało mi się, że gwiazda moja odzyskała swój blask. Nie doznawałam żadnego skrupułu z powodu, iż go oszukałam w sprawie pierwszego mego małżeństwa. Jeżeli prawda nigdy nie wyszłaby na wierzch, a mogłabym liczyć na to, żyłby i umarł w zupełnej nieświadomości. Gdyby jednak tajemnica ma wydała się, cały wstyd i hańba spadłaby na mnie. Ryzyko było małe w stosunku do spodziewanej korzyści, nie wahałam się też wcale. Ślub zawarliśmy w tajemnicy w małym wiejskim kościółku. Potem zaraz sir John wywiózł mnie za granicę, a gdy powróciliśmy do Anglii, moje nowe nazwisko było najlepszą przegrodą od fatalnej przeszłości

W Peru byłam tylko prostą panią Alliston, w Anglii zostałam lady Lerterham. I byłabym zupełnie szczęśliwą, gdyby nie wypadek. Nieszczęście chciało, że spotkałam w Greenleafhurst młodego człowieka nazwiskiem Alliston. Sądziłam z początku, że to tylko to samo nazwisko które nosił mój mąż, po zebraniu jednak dyskretnych informacyj przekonałam się, że jest to syn jego, o którym mi Ryszard Alliston wspominał. To było pierwszą chmurą na horyzoncie. Ciemny ten obłok rósł z czasem; młody Alliston zdobył sobie pewne poważanie w okolicy i wielu przyjaciół. Wiadomo było, że ojciec jego mieszka w Peru i wcześniej czy później przyjedzie tutaj, by przeżyć swe ostatnie dnie przy synu. Zwolna dowiedziałam się o tem wszystkiem i przekonałam się, że nie można zupełnie zapomnieć przeszłości. Jeżeli ja bym to potrafiła, on by nie zapomniał o mnie. Musiałam mieć się na baczności. Chciałam być pierwszą poinformowaną o przybyciu Allistona do Greenleafhurst. Od tego zależał mój los. Jednego lub drugiego dnia pozna mnie i dowie się o mem nowem nazwisku. Uzna wtedy za swój obowiązek najświętszy zawiadomienie sir Johna o swem małżeństwie ze mną w Peru i będzie mógł zażądać mnie jako swej żony. W każdym razie byłabym zgubioną. Opuściłabym dach sir Johna okryta hańbą, pogardzona przez wszystkich. W miasteczku, gdzie przyjmowano mnie z wielkiem poważaniem, zostałabym odepchnięta i wyśmiana przez dzieci. Było już zbyt późno, by zaczynać nowe życie; nie pozostawało mi nic innego, jak bronić wszelkiemi siłami mego stanowiska, a gdyby katastrofa nadeszła, nie cofnąć się przed jedynym środkiem, śmiercią!

Lata upływały i gdy Ryszard Alliston nie przybywał, nadzieja wracała do mnie. Chciałam wymódz na sir Johnie, byśmy opuścili Anglię na zawsze i przenieśli się za granicę, nie zdziwiłam się jednak, gdy odrzucił me żądanie jako nierozsądne. Dopóki pozostawaliśmy w Anglii nie było dla nas innego miejsca, jak Greenleafhurst. Czas mijał; zdawało mi się już, że me obawy były zbyteczne i zdecydowałam się pozostać na zawsze w tym opuszczonym zakątku, gdy nagle dobiegła mnie wieść, że mój dawny mąż pisał do syna o swym rychłym przyjeździe.

Nadeszła chwila działania i nie cofnęłam się. Dowiedziawszy się przez brata o nazwie okrętu, którym wracał Ryszard Alliston, zaczęłam rozmyślać, co mam uczynić. Zdawało mi się, że lepiej będzie, gdy sama mu powiem, kim się stałam, niżby on miał odkryć prawdę. Zaproponuję mu ugodę, a nawet, jeżeli będzie konieczne, odwołam się do jego litości. Wysłałam więc do Liwerpolu list, który miał mu być wręczony zaraz po przybyciu statku. Prosiłam go, by zobaczył się ze mną w szopie cygańskiej, zanimby spotkał się z kim innym, gdyż mam do niego interes niezmiernej wagi.

Jeszcze miesiąc czasu miałam przed sobą, nie myśląc o czem innem, jak tylko o tem. Musiałam zastanowić się i nad tą okolicznością, gdy Ryszard Alliston odmówi mi i okaże chęć zdemaskowania mnie. Byłoby wtedy jedno tylko wyjście. Doszłam do niego powoli, wbrew swym chęciom, lecz stanowczo. Przez całe dnie i noce obmyśliłam mój straszny projekt. Musiałam przedsięwziąć tyle środków ostrożności, by nie wpaść w jeszcze gorsze położenie! Jak go zabić, jeżeli konieczność zmusi mnie do tego? Przypomniałam sobie, że sir John posiada laskę kupioną za granicą, z długim ostrym sztyletem. By odwrócić podejrzenie, wzięłam trzewiki sir Johna, gdyż moje były zbyt eleganckie i łatwo było można rozpoznać je w tem tak mało uczęszczanem miasteczku. Los sprzyjał mi tego wieczoru. Baronet pojechał za interesami do sąsiedniej wioski; nikogo więc nie było, ktoby mógł się zdziwić, że wychodzę sama, a tak wszystko urządziłam, że nikt mnie nie widział, gdym opuszczała zamek. Nie wiele już mam do dodania. Starczy, jeżeli powiem, że spotkanie z Ryszardem Alliston potwierdziło me obawy. Nietylko iż z oburzeniem przyjął mą propozycyę, ale nawet oznajmił, że natychmiast uprzedzi o mej winie sir Johna. Wtedy podniosłam dłoń i ze wszystkich sił utkwiłam w nim sztylet. Krzyknął, śmiertelnie raniony, zagasiłam jednak zaraz światło, które z sobą przyniosłam i uciekłam do zamku.

Mój przeklęty sukces był zupełny, trwał jednak nie długo. Pewna, że najmniejsze podejrzenie mnie nie dotyka, sądziłam przez kilka dni, że jestem bezpieczna. Wkrótce dowiedziałam się, że pewien stary przyjaciel mego pierwszego męża, Joh Hammerton, towarzyszył mu w jego podróży do Londynu i teraz rozpoczął poszukiwania na własną rękę. Niebezpieczeństwo moje rosło. Winnam obawiać się Hammertona więcej, niż sir Johna; gdym się dowiedziała o jego zamiarach, zrozumiałam, że wszelka nadzieja stracona, ża dnie me kończą się. Nie wiedziałam co czynić, wreszcie przybita rozpaczą, zdecydowałem się rozmówić z tym Hammertonem i przekonać go, że zbrodni dopuścił się kto inny. W mem nowem przedsięwzięciu, jak i w innych wypadkach znajdowałam pomoc w swym bracie, który jednak nie znał mej roli w zbrodni w Greenleafhurst, a gdy zaczął domyślać się jej, porzucił mnie zaraz.

Naprożno przytaczać wszystkie myśli, jakie mną miotały, mówić o tem, co czyniłam w ostatnich miesiącach, by ukryć swą winę. Byłam w położeniu człowieka, który przyparty do muru wali w niego z rozpaczą bez najmniejszej dla siebie nadziei, widząc od początku, że zwycięstwo nietylko niemożliwe, lecz nawet nie warte walki o niego. Gdy tylko miałam pretekst do wyjazdu do Londynu, korzystałam z niego natychmiast, by parować ciosy, które mnie zagrażały. Nie można jednak dpouszczać się zbrodni bezkarnie i gdy teraz myślę o niej, dziwię się tylko, że walka moja mogła trwać tak tak długo. Piszę tę spowiedź w obawie, by po mej śmierci niewinny nie odpowiadał za me łotrostwa. Sir John został uwięziony, nie sądzę jednak by to aresztowanie pociągało za sobą inne skutki, jak tylko przejściowe kłopoty. Gdybym wcześniej dowiedziała się o podejrzeniach, których stał się ofiarą, skończyłabym pracę swą na czas, by uchronić go od tej przykrości. Wiadomość ta spadła na mnie zbyt gwałtownie. Wszystko skończone już i jeden tylko krok pozostaje mi do uczynienia. Gdy spostrzegą się, że dowody sprawiedliwości stosują się nie do sir Johna, lecz do mnie i przyjdą po mnie, będę już po za ich mocą, wolna od wszelkiej zemsty. Będę martwą!"

XVII.

Sir John nie potrzebował już jeździć do Londynu, by odpowiadać na wniesiene przeciw sobie oskarżenie. „Spowiedź" wręczona została Radfordowi, który dołożył wszelkich starań, by uwolnić swego klienta od nowych kłopotów. Nakazano nowe śledztwo dla określenia powodów śmierci; resztki zbitego flakonu z trucizną pozbierane w bibliotece, pozwoliły wykazać lekarzowi rodzaj śmiertelnego płynu. Gdy sprawa wreszcie została ukończoną, sir John wyjechał na pewien czas za granicę, uwożąc z sobą Gracyę. Przez dłuższy czas utrzymywał córkę w zupełnej nieświadomości dramatu, jaki się koło niej rozegrał, a gdy nie można już było dłużej ukrywać go, zataił przed nią najgłówniejsze jego momenta.

Wilfred Alliston po śmierci lady Lesterham miał więcej czasu do zajęcia się sprawą spadku. Formalności trwały dość długo, zwłaszcza ze względu na odległość, jaka dzieliła zainteresowane osoby, skończyły się jednak i one i Wilfred stwierdził z przyjemnością, że pierwsze doniesienie Hammertona nie było wcale przesadzone. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Ryszard Alliston miał zamiar powrócić do Anglii na stałe, zdobył bowiem fortunę, którą zabezpieczył sobie starość i przyszłość synowi. Młody nauczyciel porzucił wkrótce swą szkołę i na nowy ład urządzał swe życie, oczekując powrotu miss Gracyi.

John Hammerton spełnił swój zamiar i osiadł na stałe w Greenleafhurst. Przyjaźń, zaczęta w tak dziwny sposób między nim a Wilfredem, wzmogła się z czasem i gdy wkrótce stary jubiler umarł, zostawił znaczną część swego majątku synowi dawnego przyjaciela.

Nigdy nie można było stwierdzić z pewnością, czy Joe Muskin zdobył sobie całe, czy tylko część dwustu funtów szterlingów nagrody; zachował co do tego faktu milczenie, a policya również nie dała żadnych w tej mierze wyjaśnień, uważając, iż nie jest w prawie ogłaszać nazwiska tego, kto jej okazał w tym wypadku tak wydatną pomoc. Pan Ponderburg był zdania, iż młodemu fermerowi wypłacono całą sumę, którą on zaraz ulokował w banku, w obawie, by mu jej tak łatwo nie odebrano, jak on ją łatwo zdobył.

Nadeszła chwila powrotu sir Johna i Gracyi do Greenleafhurst i wkrótce całe miasteczko było świadkiem ślubu. Na prośbę sir Johna młoda para osiadła w zamku, gdzie baronet, obecnie już starzec, znajduje największą radość w bawieniu się ze swymi wnukami. Straszne chwile przerażenia minęły bezpowrotnie i w starym zamku zagościły na nowo szczęście i radość.

KONIEC.

OD REDAKCYI.

Społeczeństwu sprzykrzyły się już powieści sensacyjne w guście Scherlocka Holmesa, Nicka Cartera i innych ociekających krwią bohaterów kryminalnych opowiadań, obecnie wchodzą w modę romanse psychiczne, przedstawiające różne tajemnice świata niewidzialnego w formie widzialnej. Idąc za ogólnym prądem, nie szczędziła Redakcya kosztów i postarała się o wytworne tłomaczenie jednej z najnowszych powieści tego rodzaju. Od następnego numeru rozpoczniemy też druk znakomitego utworu Dra A. Wylma p. t.:

„KORALOWY RÓŻANIEC"

P. T. Czytelnicy znajdą w nim barwnie i przystępnie scharakteryzowane różne przejawy psychiczne, zajmujące obecnie szerokie koła inteligentnej Publiczności, znajdą wytłómaczenie różnych zjawisk, które sami nieraz przeżywają i poznają całą głębię najnowszych zdobyczy na polu życia duchowego i oddziaływania wzajemnego na siebie jednostek. Powieść napisana nader zajmująco, potrafi zająć każdego z licznych naszych P. T. Czytelników, wprowadzając go w sfery dotąd dla niego nieznane, a jednak będące na porządku dziennym.

Kronika tygodniowa.

(Kucharki w obronie zagrożonej sytuacyi. — Z politycznych bajek. — Wyjaśnia się. — Rzeźnicy żądają czasu do namysłu. — Nowy strejk. — Wystawa „Sztuki“. — O grób Słowackiego. — Występ Trylowskiego. — Bandyci pod Kołomyją i o ukraińskiej młodzieży w ogólności).

I znowu o jeden tydzień zbliżyliśmy się ku wieczności, a sytuacya polityczna ani odrobinę się nie wyjaśniła. Zakaz władz wspominania o ruchu wojsk austryackich, przyczynia się tylko do zaostrzenia ciekawości i powoduje powstawanie pogłosek, dochodzących do absurdum. Niech tylko żołnierz w pełnym rynsztunku skieruje się ku dworcowi kolei, obiega Kraków lotem błyskawicy wiadomość, że kilka batalionów odeszło do Bośni. Najsrożej boleją nad tem krakowskie kucharki, które opłakują swych narzeczonych, bojąc się, by Bośniaczki lub Serbki o bardziej ognistym temperamencie nie zajęły w sercach dzielnych synów Marsa ich miejsca. W celu odwrócenia groźnego niebezpieczeństwa, weszły nawet w porozumienie z kucharkami serbskiemi i postanowiły do obu rządów wystosować ultimatum, grożąc strejkiem kuchennym w razie nieuwzględnienia ich żądań. Wiadomo powszechnie, że i dyplomaci bardzo są czuli na punkcie żołądków, spodziewać się więc należy, że ta wspólna akcya mistrzyń rondla i patelni odniesie pożądany skutek, większy, niż wszelkie przyjazne przedstawienia mocarstw europejskich.

A mogłoby się już raz zmienić, gdyż ta niepewność, w jakiej ciągle żyjemy, gorszą jest i od samej wojny. Ze strony serbskiej oświadczają, że o wojnie wcale nie myślą, a powołują coraz to świeże oddziały rezerwy i zapewniają, że rząd serbski tylko w tym wypadku zrzeknie się kompensat terytoryalnych i politycznych, żądanych z powodu aneksyi, jeżeli konferencya mocarstw uzna aneksyę. Na konferencyę nie chce się znowu Austrya zgodzić. Nadto zapewniają, że rząd serbski odmówi stanowczo ewentualnemu żądaniu Austryi, aby Serbia rozpoczęła układy wprost z Wiedniem, godząc się tylko na pośrednictwo w tym wypadku innego mocarstwa, prawdopodobnie Rosyi. Tymczasem w Wiedniu poseł Simicz przygotowuje się do wyjazdu, a hr. Forgach w Belgradzie adresuje do ministra Milowanowicza kopertę, w której mu prześle ultimatum. Na tle zaniepokojenia, wywołanego tą niejasnością sytuacyi, rośnie natomiast w Serbii powaga księcia Jerzego, który co chwila wygłasza mowy, o ile możności do ciemnych mas rezerwistów, słuchających go z podziwem, bo nierozumiejących ani słowa. Król Piotr schodzi zupełnie na drugi plan, nie mając nawet tyle znaczenia, co jego imiennik „konsul Piotr“, produkujący się w jakiemś panopticum.

Dochodzą wprawdzie *via* Londyn wiadomości, że między mocarstwami trwa ciągle wymiana zdań, aby nowym krokom w Belgradzie nadać konkretne kształty i zażądać od Serbii rozbrojenia i podjęcia z Austryą rokowań o traktat handlowy, mało jednak przywiązuje się do nich nadziei powodzenia. Oba państwa, Austrya i Serbia, rujnują się wydatkami na zbrojenie się, Austrya może jeszcze jakoś przetrzyma przesilenie finansowe, Serbii grozi zupełna ruina, gdyż na pobicie Austryi i otrzymanie jakiegoś odszkodowania, nie liczą wcale, nawet najśmielsi politykowie serbscy.

Kto robi na tych wojennych przygotowaniach najlepsze interesy, to rozmaitego rodzaju dostawcy i spekulanci giełdowi. Papiery wartościowe spadają ciągle na wartości, cena zboża i paszy idzie ciągle w górę, a to w czasie zbliżającego się przednowku nie jest wcale miłą wiadomością, gdy i tak w normalnych warunkach ledwie dychamy, stanowiąc prawdziwych mieszkańców Golicyi i Głodomeryi.

Zupełnie podobnie idzie oporem akcya dyplomatyczna, jaką magistrat krakowski rozpoczął z naszymi masarzami w sprawie obniżenia ceny wędlin. Na stanowcze ultimatum, prezydyum miasta się nie zdobyło, wdrożyło tylko kroki celem przekonania panów świniobójców, że przez ten swój postępek okazali brak serca i uczucia litości dla wygłodzonego już przed oblężeniem Krakowa. Oni jednak odpowiedzieli na razie, że to wszystko furda, a kieszeń to grunt. Zastrzegli sobie natomiast tydzień czasu do dania odpowiedzi, gdyż jako mężowie stateczni, chcą wstąpić w ślady naszych wielkich polityków i zastanowić się gruntownie, nim się stanowczo oświadczą w tej kwestyi. Odpowiedź ich pójdzie następnie do sekcyi, ta odeśle ją do komisyi, która ze swego łona wysadzi specyalną ankietę, mającą się nad tem zastanowić, i przyjść na Radę z odpowiednimi wnioskami. Tymczasem nadejdą ferye wakacyjne, radcy rozjadą się na wilegiaturę i sprawa pójdzie w zapomnienie, my zaś z konieczności zgodzimy się na to i równowaga polityczna Wielkiego Krakowa będzie i nadal utrzymana kosztem naszych żołądków i kieszeni.

Daleko gorzej, iż grozi nam znowu nowy strejk, stojący również w związku z naszymi żołądkami. Gmina miasta Krakowa nałożyła na fury chłopskie, przybywające do miasta, nowy podatek w kwocie 10 halerzy, bez względu na to, czy wieśniak ów przyjeżdża z towarami na sprzedaż, czy bez nich. W odpowiedzi na to zarządzenie zaproponowano urządzić strejk i przez tydzień nie dowozić do Krakowa nic na sprzedaż, prócz mleka, aby w ten sposób zmusić magistrat do cofnięcia zarządzenia. Naszej autonomicznej magistraturze nie stanie się przez to nic złego, nasze kieszenie natomiast odpokutują, gdyż będziemy przez ten czas narażeni na wyzysk rozmaitych przekupni, który i w normalnych warunkach daje nam się należycie we znaki, a cóż dopiero wtedy, gdy będziemy skazani na ich łaskę lub niełaskę.

Każdy z nas, czując już z daleka, iż czeka nas siedm lat głodnych, jak ongi w Egipcie, wzdycha tylko do onej szczęśliwej chwili, kiedy to w myśl wniosków radcy Godzickiego będziemy mieli własny miejski zakład pogrzebowy, miejski zakład ubezpieczeń od ognia i własne kopalnie węgla. Wtedy podniesie się dobrobyt miasta, a także i jego mieszkańców, będziemy nawet mogli za delikatesy wieprzowe płacić takie ceny, jakie sobie odmówni majstrowie naznaczą, bez obawy, iż to może zaszkodzi naszej kieszeni. Dopóki Rada nie postara się o zaprowadzenie onych przedsiębiorstw we własnym zarządzie, niema mowy, aby coś zmieniło się na lepsze, będziemy jęczeć, stękać i narzekać na naszą biedę, której dokładnym portretem jest budżet miejski, nad którego połataniem radzili nasi ojcowie przez kilka wieczorów, dyskutując przytem *de omnibus rebus et quibusdam aliis*.

Skoro wspomniałem już o portrecie, to nie zawadzi napomknąć i o wystawie „Sztuki“, która od niedzieli zagościła w salach Towarzystwa Sztuk Pięknych. Z kronikarskiego obowiązku i dzięki grastosowemu biletowi powędrowałem tam i aż złapałem się za głowę, widząc, co dziś ma się nazywać sztuką! Część osób, które widnieją na obrazach, musiała w młodości przechodzić angielską chorobę, gdyż pozostały na nich jej ślady, niektóre obrazy trzymane są w tonie na pół twardej jajecznicy, fioletowego śniegu, czekoladowego morza i pomidorowej trawy i liści. Dodatnio wyróżniają się dzieła Kamockiego i Czajkowskiego, przypominające sposób malowania byłych naszych wielkich artystów, potępionych wprawdzie przez obecny narybek malarski, rozumianych jednak i podziwianych przez ogół zdrowo myślących, czem niestety „obecne“ wielkości poszczycić się nie mogą. Oglądaniem podobnych arcydzieł, jak te, które stanowią część obecnej wystawy, nie wyrabia się smaku i poczucia artystycznego w ogóle zwiedzających wystawę, owszem się go paczy lub nawet zabija.

Jedną z kwestyi, zajmujących ogół polski jest sprawa sprowadzenia zwłok Słowackiego na ziemię ojczystą. Zajmuje się nią cała Polska i cała nasza prasa, przy tej jednak sposobności pojawiają się wnioski, również nieco przeczulone, jak np. projekt złożenia ciała wielkiego poety na Giewoncie, dokąd dostęp, z chwilą zaprowadzenia komunikacyi aeroplanami, będzie bardzo ułatwiony, lub na wyspie na Czarnym Stawie, dokąd rzadko kto będzie się mógł dostać, jeśli *nota bene* puści go tam ks. Hohenlohe, który zagiął parol na Poronin z przyległościami, wystawiony na licytacyę przez spadkobierców ś. p. Uznańskiego. Jak dotąd niema amatora między Polakami na kupno tych dóbr, a kochający nas Prusak, miał podobno oświadczyć, że da i sto tysięcy ponad każdą cenę, byle nie zmarnował się ów kawałek ziemi polskiej. Brońmy się przed najazdem Prusaka póki sił i czasu, później może być zapóźno!

Wracając do Słowackiego, to ogół jest zdania, że jeśli nie może spocząć w Warszawie, z którą splotły się dzieje jego życia, to jedyne dla niego odpowiednie miejsce jest w Krakowie na Wawelu, czemu jednak sprzeciwiają się pewne czynniki. Ożywiło to poniekąd polemikę dziennikarską i choć na chwilę odwróciło uwagę publiczności od sprawy zatargu na Bałkanie, który jest obecnie kwestyą, o której się mówi, troszkę pisze (bo nie wolno) i śni (tego już nikt zabronić nie może, jako wolności zagwarantowanej dla każdego obywatela przez ustawy zasadnicze).

Z okazyi obrad w parlamencie austryackim nad kontyngentem rekruta wsławił się szeroko poseł Kiryło Trylowski, który swym występem niedźwiedzią przysługę oddał swej narodowości. Znamy pana Trylowskiego, jako atamana galicyjskiej hajdamackiej Siczy, znamy go jako przeciętnego adwokata i dyrektora chóru ruskiego w Izbie poselskiej, nie wiedzieliśmy jednak, że jest tak kiepskim politykiem i rzuca na wiatr słowa, nie mające realnej podstawy. Pan Tryl zarzucił swym pobratymcom z 24 pułku piechoty w Kołomyi, iż za czasów swego pobytu w Bośni rozgrzewali do czerwoności bagnety i tak dopiero mordowali tamtejszą ludność, co spotkało się z zaprzeczeniem ministra obrony krajowej, który spsioczył atamana, i oburzeniem całej, zdrowo myślącej części posłów. Oklaskiwali mowcę tylko Rusini, ale nie dlatego, aby im się podobały wywody pana Kiryły, ale dla zasady, że to przemawia Rusin, oklaskiwali i czescy radykali, aby w ten sposób zrobić na złość rządowi. Nie pomogło to jednakże, kontyngent rekruta i bez ruskich głosów uchwalono.

Najzabawniejszym i pięknie stosunki ruskie charakteryzującym był epilog tej sprawy. Posłowie ruscy, którzy rzekomo solidaryzowali się z przemową swego kolegi, oklaskując go w Izbie, zwinęli nagle chorągiewkę i urzędowo oświadczyli, że klub ruski nie upoważnił wcale p. Trylowskiego do takiego tonu i z tenorem jego mowy wcale się nie solidaryzuje. Oburzony tem Tryl, krzyknął wielkim głosem: „Zdrada!“ i wystąpił z klubu ruskiego, a jak się zdaje, jako dobry śpiewak, wstąpi zapewne do klubu czeskich muzykantów, gdzie będzie mógł zrobić należytą karyerę.

Jeśli już wspomniałem o braciach z za Sanu, to muszę zawadzić i o sprawę bandytów w okolicy Kołomyi. Ku zdziwieniu całego świata dowiedzieliśmy się, iż bandytami owymi byli obiecujący młodzieńcy, wychowankowie tamtejszego ruskiego gimnazyum i prywatnego seminaryum, którzy dla ćwiczenia ducha i ciała przedsiębrali rozbójnicze wyprawy w okolice, aby w ten sposób zebrać fundusze na budowę nowego mostu na Sanie, po którym Polaków przepędzi się do zachodniej Galicyi. Koncesyi na budowę wprawdzie jeszcze nie wydano, jest jednak nadzieja, że skoro tylko pan Trylowski zostanie namiestnikiem wschodniej Galicyi, razem z upaństwowieniem Siczy i budowa ta przyjdzie do skutku.

Porzuciwszy jednak żart na bok, z boleścią zauważyć należy, że owo zdziczenie części ukraińskiej młodzieży ma swe źródło i początek w wychowaniu nietylko domowem ale i szkolnem. Kto zna stosunki, panujące w Galicyi wschodniej w sferach młodzieży ukraińskiej, ten mi przyzna, że mam racyę, twierdząc, że młodzież ta pozbawiona jest wszelkich szczytniejszych uczuć, okazuje się wśród niej zanik wszelkich zasad moralności i poczucia obowiązku, szerzy się ateizm, a jedynym ideałem jest „borba“. Niestety współdziała w tem i szkoła, szczepiąc częstokroć w młode serca i umysły zasady przewrotowe, jak to mieliśmy nieraz sposobność skonstatować na śledztwach, prowadzonych przez Radę szkolną krajową w ruskich gimnazyach w Galicyi, gdzie sztubak z klasy pierwszej twierdzi ostentacyjnie, że jest radykałem lub socyalistą, a jego kierownicy cieszą się, iż wychowali sobie takiego obiecującego „mołojca“.

X.

Z półek księgarskich.

Jeanne Leroy-Allais: **Jak uświadomiłam moje córki o rozwoju kobiety i o macierzyństwie,** z francuskiego przełożyła E. Wosławska z przedmową Dra Poraka. Wilno, nakład księgarni J. Zawadzkiego 1909. Autorka, znana już z innych prac, wykazała w niniejszej ogromny zasób uczucia, z którem spieszy na pomoc zakłopotanym matkom, kreśląc nader barwnie a przystępnie plan postępowania w celu uświadomienia córek o całym przebiegu ewolucyi rozrodczej, zaczynając od epoki formowania się do pełni rozkwitu w macierzyństwie. Sprawy nader drażliwe przedstawione są w formie dyalogu matki z córką a poparte przykładami z życia roślin i zwierząt. Tłomaczenie zupełnie poprawne wydanie staranne.

Śmierć wybitnego polityka.

W chwili zamknięcia niniejszego numeru otrzymaliśmy bolesną wiadomość o zgonie wybitnego naszego polityka, byłego prezesa Koła Polskiego i ministra dla Galicyi, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Imię jego zapisało się chlubnie w dziejach naszych z ostatnich kilku dziesiątek lat, znanem jest także w literaturze polskiej, gdyż zmarły zajmował wybitne miejsce między naszymi historykami i estetykami.

Urodzony w r. 1845 w Olszanicy w Galicyi, kształcił się we Lwowie i Wiedniu i już wcześnie poświęcił się literaturze, pisując znakomite felietony i dzieła, treści przeważnie historycznej, filozoficznej i estetycznej („Ateny“, „Studya estetyczne“, „Geografia krajów polskich w starożytności“, „Historya malarstwa we Włoszech“, „Powieści Wschodu i Zachodu“, „Listy o wychowaniu“, „Roztrząsania filozoficzne“ i wiele innych), próbował także sił swoich na polu powieściopisarskiem i jako poeta. W życiu społecznem brał udział, jako prezes centralnego komitetu wyborczego dla Galicyi, poseł do Sejmu i Rady państwa, prezes Koła polskiego, wreszcie minister dla Galicyi. Działalność jego nader obfita w skutki, zjednała mu uznanie nawet przeciwników politycznych, przymiotami osobistymi, wytwornem obejściem i ciętym dowcipem potrafił sobie ujmować wszystkich, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim kiedykolwiek.

Społeczeństwo nasze odczuwa dotkliwą stratę, jaką ponosi przez śmierć tego zasłużonego męża, który długo jeszcze mógł pracować dla dobra kraju.



Śmierć wybitnego polityka: Ś. p. hr. Wojciech Dzieduszycki.

Rocznica zaprowadzenia spoczynku niedzielnego.

W ubiegłą niedzielę obchodziła czeladź rzeźniczo-masarska rocznicę zaprowadzenia spoczynku niedzielnego w tej tak ważnej gałęzi przemysłu.

Już w listopadzie 1906 roku zorganizowani w Związku zawodowym chrześciańskich robotników, czeladnicy rzucili pierwsze hasło legalnej walki o spoczynek niedzielny. W cztery miesiące później w marcu 1906 odbyła się w tej sprawie pierwsza konferencya majstrów, z delegatami czeladzi, na której słuszne żądania pracowników poparli gorąco najwięksi krakowscy przemysłowcy masarscy pp.: Satalecki, Bialik i Prochowski. Uchwalono wówczas przychylić się do postulatów czeladzi i od dnia 17 marca 1907 wprowadzić zupełny spoczynek niedzielny, tak potrzebny po ciężkiej zawodowej pracy. Wprawdzie później niektórzy majstrowie zaczęli się wyłamywać z pod uchwały, jednak organizacya czeladzi rozpoczęła wówczas akcyę za prawnem uregulowaniem tej kwestyi w drodze urzędowej, co też nastąpiło w październiku r. 1907.

Dla czeladzi rzeźniczo-masarskiej w Krakowie rocznica zaprowadzenia spoczynku niedzielnego, jest świętem, które corocznie postanowiono obchodzić uroczyście. Podobny obchód odbył się i w niedzielę dnia 21 marca b. r. przy nader licznym udziale czeladzi z Krakowa, Podgórza i okolicy.

Z Dalmacyi.

(Do illustracyi na str. 4.)

W chwili, kiedy oczy całego świata zwrócone są na półwysep Bałkański, nie od rzeczy będzie zapoznać Czytelników z ludnością Dalmacyi, kraju graniczącego bezpośrednio z Bośnią, Hercegowiną i Czarnogórzem. Liczba mieszkańców przenosi zaledwie pół miliona; w tem jest około 4% Włochów, zamieszkujących przeważnie miasta portowe i 96% Serbo-Chorwatów. Panującą religią jest katolicka, zaledwie 16% należy do kościoła grecko-wschodniego.

Ponieważ rolnictwo stoi tutaj na bardzo nizkim stopniu rozwoju, główne zajęcie ludności stanowi rybołowstwo na brzegach Adryatyku i w licznych jeziorach, jakoteż uprawa wina i oliwy. Jedną z najważniejszych gałęzi gospodarstwa miejscowego, jest także hodowla owiec. Dalmatyńcy są ludem nader bitnym i miłującym wolność, rząd austryacki miał też z nimi dość kłopotu i dużo krwi popłynęło nim udało się ich zupełnie uspokoić. Obecnie wre w kraju walka narodowościowa między większością słowiańską a szowinistyczną mniejszością włoską, któ



Rocznica zaprowadzenia spoczynku niedzielnego: Czeladź rzeźniczo-masarska zebrana na uroczysty obchód w dniu 21 marca.



W przededniu wojny: 84-ty pułk piechoty w drodze na dworzec kolejowy w Wiedniu.

ra, jako duchowo bardziej rozwinięta, radaby ująć w swe ręce rządy i nadać krajowi piętno czysto włoskiej prowincyi. Słowianie dzielnie odpierają te ataki, uzyskali w Sejmie większość i pracują skutecznie na polu uświadomienia narodowego.

Illustracya nasza przedstawia włościan dalmatyńskich, udających się na tygodniowy targ do Zadaru.

W przededniu wojny.

(Patrz illustracye na str. 2-ej).

Duszna i ciężka atmosfera zawisła nad Austryą. Niewyjaśniona dotąd sytuacya polityczna i wynikająca stąd obawa wojny, są powodem tysiąca najrozmaitszych pogłosek, które, choć przeważnie pozbawione realnej podstawy, wcale się nie przyczyniają do uspokojenia umysłów. I tak n. p. sporadyczne runy na kasy oszczędności po rozmaitych miastach monarchii biorą swój początek z tych nieokreślonych pogłosek, które umieją zręcznie wykorzystać rozmaici niesumienni spekulanci. Dalej zaś głuche a przesadzone wieści o rzekomych zarządzeniach mobilzacyjnych i ruchach wojsk, powodują znaczne zaniepokojenie opinii. Nie może niestety przeciwdziałać temu prasa, wyświetlając prawdziwy stan rzeczy, a to z powodów powszechnie znanych.

Wyraźne bardzo oświadczenie w tej mierze złożył 18 b. m. w komisyi Rady państwa, obradującej nad kontygentem rekruta, minister obrony krajowej, marszałek polny por. Georgi. Zaznaczył on wprawdzie, że obecne powołanie rezerwistów do służby czynnej nawet w przybliżeniu nie ma charakteru mobilizacyi, podniósł jednak zarazem, że to powołanie ma cechę niezwykłego zarządzenia.

Niepotrzeba nawet oświadczeń ministeryalnych na tym punkcie, bo zdrowy rozsądek wskazuje, że w takiej sytuacyi, jak obecna, bezczynność ze strony zarządu wojskowego w Austro-Węgrzech byłaby wprost karygodną. Do wojny może nie przyjść, lecz monarchia musi być do niej przygotowaną. Na wypadek zaś, gdyby oręż został dobyty z pochwy, tylko wystąpienie do walki z armią silną i dobrze przygotowaną, może tę walkę uczynić jak najkrótszą, czego należy sobie życzyć w interesie ludzkości. Wojna, przewlekająca się, mogłaby dać początek wielkiemu pozarowi, który gotów ogarnąć całą Europę, przeciwnie — szybki a dokładny pogrom Serbii wojnę zlokalizuje i ograniczy rozmiary ofiar w ludziach i pieniądzach, tak po jednej, jak i po drugiej stronie, oraz przyczyni się do zawarcia takiego pokoju, który na czas dłuższy odbierze państewkom bałkańskim ochotę uprawiania awanturniczej polityki.

Ryciny nasze przedstawiają właśnie, w jaki sposób odbijają się te „niezwykłe zarządzenia“ na fizyognomii Krakowa i Wiednia. U nas w odniesieniu do 13 pułku piechoty, uzupełniającego się w Krakowie, a stojącego w koszarach Arcyksięcia Rudolfa, w stolicy zaś monarchii w odniesieniu do 84 pułku piechoty, który się tam wraz z 4 pułkiem uzupełnia.



W przededniu wojny: Tłumy żegnające 84-ty p. p. przed dworcem kolejowym w Wiedniu.

Zmiany w generalicyi.

(Do artykułu na str. 2).

Możliwość wybuchu wojny sprawiła, że kierujące czynniki wojskowe w Austro-Węgrzech poczyniły liczne zarządzenia zmierzające do podniesienia sprawności wojennej armii pod każdym względem. W szeregu tych zarządzeń jest obsadzanie posad wyższych dowódzców ludźmi, będącymi w pełni sił duchowych i fizycznych.

W naszym kraju zaszło także kilka zmian na naczelnych stanowiskach wojskowych. Komederujący generał we Lwowie i dowódzca XI korpusu, generał kawaleryi hr. Karol Auersperg ustąpił i został zamianowany kapitanem gwardyi przybocznej trabantów. Jego miejsce zajął marszałek polny porucznik Franciszek Schoedler, dotychczasowy dowódzca 16 dywizyi piechoty w Hermanstadzie. Komendantem zaś twierdzy przemyskiej, tego tak ważnego punktu na wypadek wojny z Rosyą, został mianowany, po niedawno zmarłym marszałku polnym por. Venusie, dowódzca 43 dywizyi piechoty obrony krajowej we Lwowie, marszałek pol. por. Fryderyk Jihn von Solwegen, uchodzący za jednego z najzdolniejszych i najenergiczniejszych generałów armii austryacko-węgierskiej.



W przededniu wojny: Przed odejściem pociągu z oddziałem 84-go pułku piechoty.

Zastosowanie promieni Röntgena.

W Berlinie odbywały się sześciodniowe wyścigi cyklistów w hali wystawowej tamtejszego ogrodu zoologicznego przy nader licznym udziale publiczności. Wyścigi te obudziły ogólne zainteresowanie nietylko kół sportowych, ale i lekarskich, gdyż przy tej sposobności robione były bardzo ciekawe doświadczenia z promieniami Röntgena. Pod kierunkiem wybitnych powag lekarskich, na których czele stoi Dr. Willner, urządzono stacyę doświadczalną, gdzie zapomocą promieni Röntgena badano się różnicę wielkości serca cyklisty przed i po wytężającej jeździe. Z zebranego w ten sposób materyału fizyologowie niemieccy chcą powziąć wnioski co do zdolności do pracy i odporności mięśnia sercowego. W tym celu wyekwipowano wspomnianą pracownię w najnowszego systemu aparat röntgenowski o iskrach długości 50 centimetrów i rozmaite przyrządy pomocnicze, służące do badania serca. Wszystkie te urządzenia umożliwiają najdokładniejsze zdjęcia momentalne i na odległość i każą się spodziewać, że zebrany w ten sposób materyał naukowy będzie wcale poważny i przyczyni się do dokładnego poznania fizyologicznych właściwości i patologicznych zmian mięśnia sercowego. Pracownię zwiedził także niemiecki następca tronu i z wielkiem zainteresowaniem oglądał całe jej urządzenie, wykonane z największą dokładnością według najświeższych modeli.

Załączona fotografia przedstawia badanie mięśnia sercowego jednego z biorących udział w wyścigu cyklistów.



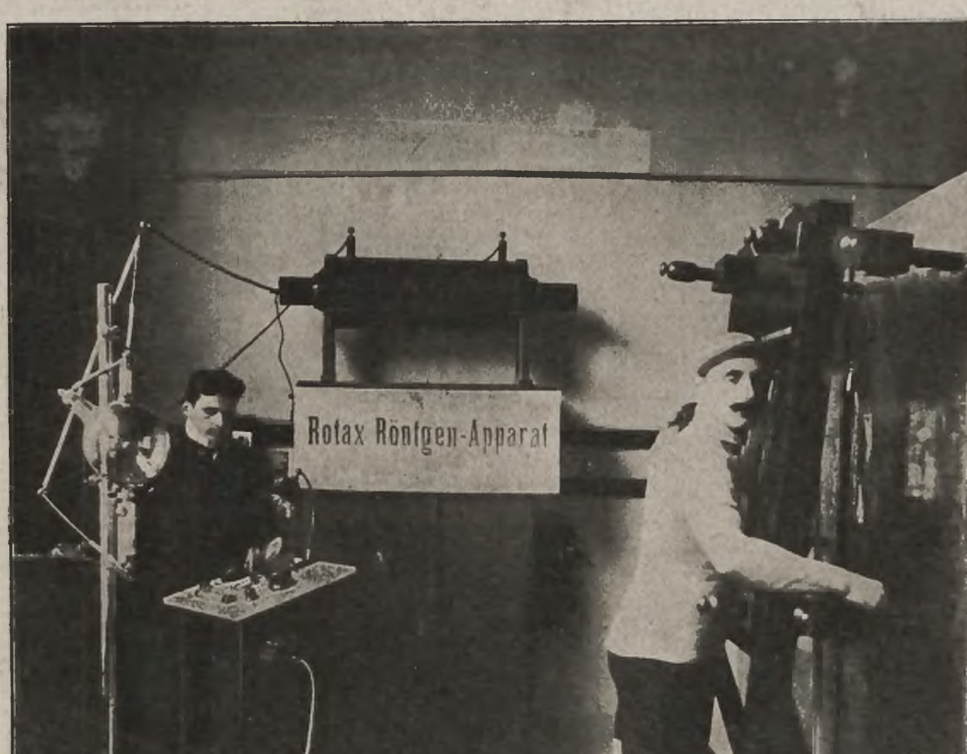
W przededniu wojny: Oddział karabinów maszynowych 84-go pułku piechoty.

Syn Milana w Berlinie.

(Do illustracyi na st. 10).

Jak dziwnie plotą się nieraz losy ludzkie na świecie, mamy dowód na naturalnym synu Milana, młodym Christiczu, o którym już wspomnieliśmy w jednym z poprzednich numerów. Potomek głowy koronowanej na chleb powszedni zarabiać musi obecnie publicznymi występami, przyczem pochodzenie czyni mu niebywałą reklamę. W Budapeszcie występował jako śpiewak kabaretowy i strzelec, a występy jego cieszyły się ogromną frekwencyą publiki, pragnącej się przekonać naocznie, jak wygląda syn królewski na scenie. Obecnie przeniósł się Christicz-Obrenowicz do Berlina i tu popisuje się w cyrku Schumanna jako strzelec, ściągając tłumy publiczności. Produkcye jego obejmują równocześnie strzelanie z prawej ręki z karabinku, z lewej z pistoletu, a żaden prawie strzał nie chybia.

Przy sposobności pobytu w Berlinie odwiedził Christicz redakcyę *Localanzeigera*, gdzie naturalnie nie omieszkano go interwiewować. Na pytanie, czy rości sobie pretensyę do tronu serbskiego, oświadczył całkiem otwarcie, że ani mu to na myśl nie przychodzi, gdyż uznaje trafność przysłowia, które powiada, że „gdzieindziej w Europie ma się chłopiec stajenny lepiej, niż syn królewski w Serbii“. W długi pobyt Karageorgiewiczów w Serbii w charakterze królów nie wierzy i być może, że ma racyę, awanturnicza polityka gotowa bowiem na ich głowę sprowadzić już w najbliższych czasach burzę. Wówczas jednym z pretendentów do tronu byłby obecny artysta-strzelec cyrkowy, który w Serbii ma wielu zwolenników, a jak się zdaje uzyskałby poparcie i zagranicy. Gdyby do tego przyszło, byłby to rzeczywiście nader jaskrawy dowód zmienności losów ludzkich.



Zastosowanie promieni Röntgena: Wnętrze pracowni podczas badania jednego z cyklistów.

Gość egzotyczny w Paryżu.

(Do illustracyi na str. 10).

W ubiegłym tygodniu zwracała na siebie powszechną uwagę na bulwarach paryskich rzadkiej piękności córa krainy „wschodzącego słońca, chryzantemów i kwiatu wiśniowego“, bardzo zgrabna i nosząca z wielką elegancyą europejski kostyum uszyty wedle ostatniej mody. Była to żona podpułkownika księcia Naszimoto, spokrewnionego z mikadem, a odbywającego obecnie dla studyów służbę w piechocie francuskiej.

Księżna Naszimoto, córka ambasadora japońskiego przy Kwirynale, markiza Nabeszimoto, tak silnie tęskniła za mężem, iż nie zawahała się odbyć dalekiej i męczącej podróży, aby tylko być w pobliżu ukochanego małżonka. Podróż jej była tem uciążliwszą, ponieważ, obawiając się zostawić dzieci, t. j. dwie dziewczynki, jednę trzechletnią, drugą dziewięcioletnią, na cudzej opiece, zabrała je ze sobą do Paryża.

Rycina nasza przedstawia uroczego gościa z dalekiej Japonii na przechadzce wraz z dziećmi, które wyglądają jak prześliczne laleczki japońskie i służącą ubraną w strój narodowy.

Odpowiedzi Redakcyi.

WPan S. Danziger Osiny. W miarę miejsca spożytkujemy nadesłane zagadki, gdyż obecnie teka nasza jest niemi nader obficie zaopatrzona.

WPani H. Chodkiewicz Warszawa. Poprzednie rozwiązanie nie mogło być uwzględnione nadeszło bowiem już po oddaniu numeru na prasę.

WPan A. J. Kraków: Zagadki umieścimy w swoim czasie. Obecnie mamy nader wiele materyału, z którego możemy korzystać tylko w miarę miejsca.

WPan Rakiewicz, Częstochowa: Album pieniędzy papierowych polskich z r. 1794 nabyć można w Krakowie w księgarni K. Wojnara, ul. Szewska L. 20 po cenie 1 Kor. na lepszym papierze, na zwyczajnym po 60 hal.

WPan N. N. Lwów: Sąd Ostateczny nie nadaje się dla naszego pisma, które poezyi nie umieszcza.

WPan K. N. Warszawa: Wynik losowania podanym był w poprzednim numerze.

Henryk Melcer-Szczawiński.

Nader poczesne miejsce między naszymi pianistami zdobył sobie mimo przeciwieństw losu Henryk Melcer-Szczawiński, znany powszechnie kompozytor i znakomity kierownik warszawskiej Filharmonii. Zna go dobrze i Galicya, nietylko z jego artystycznych występów, ale i z umiejętnego kierownictwa szkoły muzycznej we Lwowie.

Urodzony w Kaliszu w r. 1869 po ukończeniu szkół średnich w rodzinnem mieście, osiadł w Warszawie, gdzie zapisał się na wydział matematyczny, uczęszczając również do tamtejszego konserwatoryum, które ukończył w r. 1891. Odbywszy podróż artystyczną po Rosyi, udał się do Wiednia, gdzie dalej kształcił się pod kierunkiem znakomitego Leszetyckiego. Występy Melcera na koncertach w Paryżu, Berlinie, Wiedniu, Lipsku, Dreźnie i Petersburgu, zjednały mu światowy rozgłos, niemniejszem powodzeniem cieszył się w Królestwie i Galicyi. Karyerę pedagogiczną rozpoczął w Helsingforsie, gdzie w konserwatoryum prowadził najwyższą klasę fortepianową. Stąd przeniósł się do Lwowa a następnie do Wiednia, do obecnej zaś chwili piastował stanowisko dyrektora Filharmonii warszawskiej.

Pomimo młodego stosunkowego wieku, ma Melcer za sobą bardzo piękną i długą przeszłość artystyczną i kompozytorską. Już pierwszymi swymi występami na widowni artystycznej wykazał wielki talent wirtuozowski i kompozytorski. W r. 1895 na konkursie imienia Rubinsteina w Berlinie zdobył pierwszą nagrodę za trio i pierwszy koncert fortepianowy e-moll, a w trzy lata później palmę pierwszeństwa na konkursie Paderewskiego w Lipsku za drugi koncert fortepianowy c-moll. Odtąd tworzy Melcer wiele, a w dorobku jego twórczym widnieje dzieło, jakiem niewielu muzyków poszczycić się może, opera „Marya“, wystawiona poraz pierwszy w Warszawie w r. 1894. Utwór ten młodego kompozytora, owoc długoletnich studyów i prawdziwego talentu, doznał też rzetelnego powodzenia i zachęcił go do dalszej pracy w tym kierunku. Obecnie pracuje Melcer nad nową operą do słów St. Wyspiańskiego p. t. „Protesilaos i Laodamia“.

Prócz tych wielkich prac może się artysta poszczycić kilkunastu utworami symfonicznymi i wielką ilością kompozycyj fortepianowych, które zjednały mu zasłużoną sławę, niemniejszą wcale od opinii znakomitego muzyka-pedagoga, jaką się cieszy w szerokich warstwach społeczeństwa, zajmującego się sztuką interesującego się jej postępem i rozwojem. Ostatnią kompozycyą Melcera jest „Sonata“ na skrzypce i fortepian, którą zachwycaliśmy się na koncercie kompozytorskim, jaki niedawno odbył się w sali starego teatru w Krakowie. W koncercie tym prócz znakomitego artysty wzięła udział p. Lange-Wysocka i znany skrzypek lwowski p. Wacław Kochański.

Pan Melcer odegrał kilka utworów fortepianowych, w tem przepyszne transkrypcye pieśni moniuszkowskich oraz z p. Kochańskim sonatę, która powinna wejść na stały repertuar skrzypków. Gorące przyjęcie, jakiego p. Melcer doznał w naszem mieście, będzie może zachętą do pamiętania o Krakowie, który warszawskiego gościa przyjmuje zawsze z radością i uznaniem.



Henryk Melcer-Szczawiński.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Logogryf: Co tygiel, to grosz.
Zagadka: Kara, arak.
Szarada: Korale.
Logogryf: Jan Sobieski.
Szarada: Fujara.
Krzyż magiczny: Wrocław, wichura, obłudny.
Zadanie rachunkowe:

13	15	14	4
12	6	7	9
8	10	11	5
13	3	2	16

Łamigłówka: Co nagle, to po dyable.
Zagadka: Żart, żur.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów. K. Klisiecki Lwów, S. Radomski Kraków, Z Wilczyński Warszawa, R. Stański Kraków, A. Bienenstock Warszawa, K. Kochański Lublin, W. Lipski Kraków, K. Potocki Piotrków L. Immerglück Czerniowce, S Bodziński Stanisławów, W. Cieliński Tarnów, J. Olchowski Kraków, S. Lechowski Warszawa Z. Grochowski Toruń, M. Klappholz Kraków, A. Altmann Kraków, H. Berkowicz Kraków, A. Polończykowa Żywiec, R. Guzik Sosnowiec, J. Augustynowicz Żywiec, S. Danziger Osiny, H. Krupecki Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, F. Niepokój Krosno, A. Biliński Tarnopol, W. Wiśniewski Tarnów, M. Bergstein Rzeszów, I. Czaczkes Lwów, J. Nowacki Krosno, A. Nowakowski Warszawa, J. K. Januszewski Podgórze, A. Szczepański Zduńska wola, W Laskowski Warszawa, S. Daniel Sosnowiec, Z. de Boulangé Gawłówek, H. Harasówka Krowica, Ł. Witakowa Mościska, H. Chodkiewicz Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **Z. Grochowski, Toruń.** Upraszamy o nadesłanie 35 h na konto poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Zgrzyty. Napisali Wacław Teodorkowski i Władysław Herz. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, druk A. Rippera w Krakowie.

Zbiorek poezyi, napisanych białym wierszem w duchu modernistycznym, wydany nader starannie i opatrzony na karcie tytułowej i okładce illustracyami allegorycznemi. Jeden z autorów p. Herz, znany jest jako kompozytor kilkunastu udatnych utworów muzycznych na fortepian i orkiestrę.

Referat posła W. Długosza, **O budowie szkół ludowych** (Sprawozdanie sejmowej komisyi szkolnej) wydany jako bezpłatny dodatek do „Gazety powszechnej“ porusza kwestye nader ważne dla rozwoju oświaty w naszym kraju, zasługuje też ze wszechmiar na jak najszersze spopularyzowanie.

Staraniem wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki opuścił prasę drukarską zbiorek poezyi chłopa z nad Wisły. Ferdynanda Kurasia p. t. **Z pod chłopskiej strzechy.** Kraków, nakład księgarni K. Wojnara. Cena 50 groszy. W przedmowie kreśli wydawca losy biednego a utalentowanego wieśniaka-poety a następnie w chronologicznym porządku zestawia jego utwory, z których przebija gorąca miłość Ojczyzny i talent prawdziwie „z Bożej łaski“. Znaczną część dochodu przeznaczono na rzecz autora, który w powiecie tarnobrzeskim wiedzie marny żywot, musząc ciężką pracą zarabiać na chleb codzienny dla siebie i rodziny. W Tarnobrzegu zawiązał się komitet celem zakupienia kilkumorgowej zagrody dla utalentowanego wieśniaka poety.

Kącik humorystycznyi

Na ulicy.

— Któż to jest ten facet, który ci się kłaniał?
— To jest zaprzysiężony operator nagniotków!
— Jakto zaprzysiężony?
— Wczoraj właśnie składał przysięgę manifestacyjną, do której zmusili go jego wierzyciele.

Dziennikarska nieomylność.

Pan jakiś wchodzi do redakcyi jednego z amerykanskich dzienników i chce się widzieć z redaktorem.

— Panie — powiada — dziennik pański zamieścił w ostatnim numerze fałszywą wiadomość!
— Nie może być, mój panie.
— Napisałeś pan, że pan N... był sądzony?
— Nie inaczej.
— Skazany?
— No tak.
— Powieszony?
— I to prawda.
— Nie panie, to nie jest prawdą, gdyż to ja jestem panem N.
— Nie może być.
— Tak jest, mam honor to panu powtórzyć i ufam, że pan odwołasz wiadomość.
— Ani myślę, mój panie.
— Jakto, pan nie myślisz tego uczynić, ciekaw jestem jakiem prawem?
— Powtarzam, że nie zrobię tego.
— Zaskarżę pana.
— Jak się panu podoba, ale ja nigdy nie odwołuję tego, co raz napisałem. Mogę tylko to zrobić dla pana, iż ogłoszę w dzienniku, że sznur, na którym pana wieszano, urwał się i pan ocalałeś.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

6 (Ciąg dalszy).

Klienci jego zaczęli się interesować tym małym czyścicielem, który w swej skrzynce miał zawsze kilka książek matematycznych i historycznych i pewien przedsiębinrca tak się nim zaopiekował, iż dał mu miejsce drooma w swem biurze.

Wkrótce Rouletabille zaawansował i mógł już zebrać pewne oszczędności. W szesnastym roku życia, mając trochę pieniędzy w kieszeni, pojechał do Paryża. Co zamierzał tam robić? Czy szukać damy w czerni? Ani jeden dzien nie minął mu bez myśli o niej i chociaż mu nigdy nie powiedziała, że mieszka w stolicy, był przeświadczony, że żadne inne miasto nie jest godne gościć w swych murach damy o tak pięknym zapachu. I uczniowie w kolegium, gdy spostrzegali jej elegancką sylwetkę w parlatoryum, mawiali: „Popatrzcie, przybyła dzisiaj Paryżanka“. Trudno było określić ukrytą myśl Rouletabille'a, może on sam nawet nie znał jej. Jedynem jego pragnieuiem było „widzieć“ damę w czerni, patrzeć na nią z daleka tak, jak dewotka spogląda na święty obraz. Czy ośmieli się podejść do niej? Straszna historya z kradzieżą spotęgowała się tylko z czasem w wyobraźni Rouletabille'a i stanowiła ciągłą przegrodę między nimi.

Natychmiast po przybyciu do Paryża udał się do Gastona Leroux i przypomniał mu się, oznajmiając zarazem, iż ponieważ nie ma najmniejszej ochoty do żadnego rzemiosła lub zajęcia stałego, a pała chęcią do pracy, prosi go o miejsce reportera. Gaston Leroux starał się wybić mu z głowy podobny zamiar, lecz napróżno. Znudzony wreszcie rzekł mu:

— Mój mały przyjacielu, ponieważ nie ma pan nic do roboty, nich pan odnajdzie „lewą nogę z ulicy Oberkampf“.

Słowa te zastanowiły Rouletabille'a, z którego dziennikarz zażartował. Kupił jednak kilka dzienników i przeczytał, że jeden z nich ofiaruje znaczną nagrodę za przyniesienienie resztek ciała kobiety, poćwiartowanej na kawałki na ulicy Oberkampf.

Poprzednio już opowiedziałem, jak Rouletabille odznaczył się przy tej sposobności, zaczynając wtedy dopiero wnioskować, gdy inni skończyli już swe rozumowania.

Wspomniałem także, jak znalazł się wypadkowo w pałacu elizejskim i poczuł tam zapach damy w czerni. Spostrzegł, że idzie za panną Stangerson! Cóż mogę więcej dodać? Wszystkie jego wątpliwości, wszystkie wybryki złego humoru stają się teraz zrozumiałe. Szczegóły, jakie przywiózł z Cincinnati o dziecku tej, która była żoną Jana Roussela, naprowadziły go na myśl, że on sam mógł być tem dzieckiem, nie starczyły jednak, by go w tem upewnić. Instynkt tak go nieraz pchał do córki profesora Stangersona, iż z trudem tylko mógł zapanować nad sobą, by nie rzucić się jej na szyję i nie zawołać: „ty jesteś moją matką!“ Strach tu jeszcze w nim działał, obawa, by go nie odrzuciła, nie odepchnęła ze wstrętem... jego, małego złodzieja z kolegium w Eu!... jego, syna Roussela Ballmayera!... jego, spadkobiercę zbrodni Larsana!... Ileż to razy wyrywało mu się na usta zapytanie: „czyś to ty? czyś ty jest damą w czerni?“ Ona zaś odrazu go polubiła, zapewne z powodu jego zachowania się w poprzednich wypadkach... *Jeżeli to była w istocie ona*, winna go uważać za umarłego... A jeżeli to nie ona, jeżeli myliły go instynkt i przeczucie, czyż może ryzykować takie wyznanie, jak to, że uciekał z kolegium w Eu z powodu kradzieży?... Nie! Nie! nigdy!... Zapytywała go nieraz:

— Gdzie się wychował mój przyjaciel? Gdzie chodził do szkół mój zbawca?

Odpowiadał:

— W Bordeaux!

Ale chciał odpowiedzieć: „w Pekinie!“

Męka ta jednak nie mogła dłużej trwać. Jeżeli to była „ona“, potrafi jej rzec takie słowa. które wzruszą jej sercem.

Wszystko lepszem jest od tej myśli, że może go nigdy nie utulić w swych ramionach. Musiał jednak być pewnym siebie, tak pewnym wobec damy w czerni, *jak pies jest pewny śladów swego pana*. Porównanie to, choć nie jest zbyt szczęśliwie dobrane, przywiodło nam myśl odszukania śladów, zaprowadziła nas do Treport i do Eu. Wycieczka ta nie miałaby wielkiego znaczenia dla mnie, *nie znajdującego się pod wpływem zapachu*, gdyby list Matyldy, który wręczyłem mu w wagonie, nie przyniósł nam tej pewności. Listu tego nie czytałem. Była to taka świętość w oczach mego przyjaciela, iż żadne inne oczy nie mogą go oglądać, wiem jednak, że delikatne wymówki, jakie mu zwykle czyniła z powodu jego dzikiego nieraz zachowania, brzmiały w liście tym uutą tak bolesną, iż Rouletabille nie mógł już wahać się, nawet gdyby córka profesora Stangersona opuściła ostatnie zdanie, w którem łkała rozpacz matki „troskliwość, jaką mu okazywała wypływała nie tyle z doznanych jego usług, ile z zachowanego wspomnienia o małym chłopcu, synu jednej swej przyjaciółki, którego bardzo kochała i który zabił się „jak mężczyzna“ w dziewiątym roku życia. Rouletabille jest bardzo podobny do niego!“

V.

Dijon... Macon.. Lyon... Z pewnością on tam na górze, ponad moją głową, nie śpi... Zawołałem na niego po cichu, nie odpowiedział mi... lecz głowę swoją dałbym za to, że nie śpi!... O czem myśli?... Jak on jest spokojny! Co mogło dać mu ten spokój? Widzę go jeszcze, jak w parlatoryum podniósł się nagle i rzekł: „Chodźmy stąd!“ głosem tak pewnym, spokojnym i stanowczym... Chodźmy stąd — do kogo? Do kogo postanowił iść? Do *niej* zapewne, która była w niebezpieczeństwie i ocaloną być mogła tylko przez niego: do niej, która była jego matką i która o tem nie wiedziała!

„Jest to tajemnica, która musi pozostać między mną a tobą; dziecko umarło dla wszystkich, z wyjątkiem dla ciebie i dla mnie!“

To było jego postanowieniem, stanowczą wolą nic jej nie mówić, A on, biedne dziecko, który zdobył tę pewność tylko dla tego, by módz jej o tem powiedzieć! W tej samej chwili, gdy się o tem przekonał, postanowił zapomnieć, skazał się na milczenie. Wielka dusza heroiczna, która odczuła, iż dama w czerni, potrzebująca jego pomocy, nie zechce swego ocalenia za cenę walki syna przeciw ojcu! Do czego może doprowadzić ta walka? Do jakiego krwawego konfliktu? Należało wszystko przewidzieć i mieć wolne ręce, by bronić damy w czerni?...

Tak spokojnym jest Rouletabille, iż nie słyszę nawet jego oddechu. Podnoszę się ku niemu... oczy ma otwarte.

— Czy wiesz, nad czem myślałem? — zapytał mnie. — Nad tą depeszą, którą otrzymaliśmy z Bowig, pod pisaną przez Darzaca i nad tą drugą z Walencyi, wysłaną przez Stangersona.

— I ja o tem myślałem i wydaje mi się to wszystko dość dziwnem. W Bourgu państwo Darzac nie byli już razem z Stangersonem, który opuścił ich w Dijon. Zresztą w depeszy powiedziano wyraźnie: „Mamy spotkać Stangersona“. Depesza Stangersona dowodzi, że stary profesor, który jechał wprost do Marsylii, znalazł się znowu razem z Darzacami. Młoda więc para spotkała Stangersona na linii marsylskiej: wobec tego należy przypuścić, iż profesor zatrzymał się w drodze. Z jakiej okazyi? Nie przewidywał żadnej. Na dworcu powiedział: „Będę w Mentonie jutro rano o dziesiątej godzinie“. Zobacz godzinę o której depesza została nadaną w Walencyi i sprawdzimy w przewodniku kolejowym, w której godzinie Stangerson winien przejeżdżać przez Walencyę, o ile nie zatrzymał się przedtem.

Zajrzeliśmy do przewodnika. Pan Stangerson był w Walencyi w nocy o dwunastej minut czterdzieści cztery, a na depeszy naznaczono czas wysłania dwunasta czterdzieści siedem, czyli innemi słowy napisał ją w trakcie odbywania swej zamierzonej podróży. W tym momencie musiał się spotkać z Darzacami. Z przewodnikiem w ręku doszliśmy do zrozumienia tajemnicy tego spotkania. Profesor pożegnał się z młodą parą w Dijon, dokąd przybyli wszyscy razem wieczorem o szóstej minut dwadzieścia siedem, poczem ruszył w dalszą drogę o siódmej minut osiem, o dziewiątej minut cztery był w Lyonie, a o dwunastej czterdzieści siedem w Walencyi. W tym czasie Darzacowie po opuszczeniu Dijon o siódmej wyjechali na Modanę i przez Saint-Amour przyjechali do Bourg o dziewiątej minut trzy wieczorem pociągiem, który wyjeżdżał stamtąd następnie o dziewiątej osiem. Depesza Derzaca została wysłana z Bourg o dziewiątej dwadzieścia osiem, musieli więc zatrzymać się w tem mieście. Wynika z tego, że Darzac dla jakiegoś nieznanego jeszcze powodu postanowił, jadąc z Dijon do Bourg, wysłać depeszę, w każdym razie już po odjeździe profesora Stangersona. Przypuścić nawet można, że jakiś dramat rozegrał się ściśle między Louhans a Bowig, a może w tem pierwszem mieście, gdzie pociąg zatrzymuje się o ósmej godzinie.

Szukając następnie połączenia między Bourg a Lyonem, stwierdziliśmy, iż Darzac nadał depeszę na minutę przed odjazdem pociągu do Lionu, wychodzącego o dziewiątej dwadzieścia dziewięć. W Lyonie znaleźli się o dziesiątej trzydzieści trzy, gdy Stangerson przybył tam w minutę po nich. Teraz, jakiż dramat zawrócił ich z drogi?. Budowaliśmy najrozmaitsze hypotezy, niestety, przystkie oparte na zjawieniu się Larsana. Jasnem zupełnie dla nas było to tylko, iż nasi podróżni nie chcieli nikogo przestraszyć. Tak Darzac, jak i jego młoda żona, musieli wszystko uczynić, by skryć rozmiar niebezpieczeństwa. Co zaś do Stangersona pytaliśmy się siebie, czy był on powiadomiony o tym nowym fakcie.

Rozwikławszy w ten sposób całą sprawę, Rouletabille doradził mi skorzystać z wygód wagonu sypialnego i dał mi tego przykład, gdy zajął się drobiazgową toaletą nocną i położył się spać. W kwadrans potem już chrapał, choć nie bardzo chciałem w to wierzyć. Ja nie mogłem zasnąć. W Awinione Rouletabille wyskoczył w łóżka, narzucił na siebie ubranie i pobiegł do bufetu wypić szklankę czekolady. Do Marsylii podróż odbyliśmy w zupełnej ciszy; potem wobec widoku tego miasta, w którem wiódł tak niezwykły rodzaj życia, Rouletabille zapewne, by pohamować smutek rosnący w nim w miarę, jak zbliżaliśmy się do celu, opowiedział mi kilka anegdotek, bez żadnego jednak zajęcia dla własnych słów. I ja je puszczałem mimo uszu. Tak dojechaliśmy do Tulonu. Niecierpliwość nasza wzmagała się z każdym obrotem kół wagonu. W Cannes spostrzegliśmy na dworcu Darzaca, który nas szukał. Wyjechał na nasze spotkanie, uwiadomiony depeszą Rouletabille'a o godzinie przyjazdu naszego do Mentony. Minę miał zmęczoną i smutną. Przestraszyliśmy się, widząc go takim.

— Nieszczęście?... — zapytał Rouletabille.

— Jeszcze nie!... — odpowiedział.

— Chwała Bogu! — westchnął Rouletabille — przybywamy na czas...

(Ciąg dalszy nastąpi).